



Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji Kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — (W tej summie mieści się cena pisma, porto i opakowanie). w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocz 8 guldenów albo 5 talarów.

Treść Numeru. Król Lir Tragedja Szekspira w pięciu aktach, przetłómaczona wierszem rymowym przez Adama Pluga. — Kilka słów o powieści przez Stanisławę I. — Panna de Seneville przez M. De Bazancourt przekład z francuskiego p. K. P. — Korespondencja ze Lwowa. — Nowy zwrot w pracach historycznych Buckle i Szczapów. — Przegląd teatralny. — Wiadomości literackie, artystyczne, naukowe i t. p.

KRÓL LIR

TRAGEDJA SZEKSPIRA W PIĘCIU AKTACH

PRZETŁÓMACZONA WIERSZEM RYMOWYM

PRZEZ

Adama Pluga.

(Dalszy ciąg).

A K T I V.

Scena I.

wchodzi Edgar.

Edgar.

Tak, wolę żyć w tej wzgardzie, wiedząc że wzgardzony,

Niż, gdybym był pochlebcom rojem otoczony,
A wzgardę budził skrytą. Ten, kto przez los wrogi
Na spodlenie i nędzę ostatnią skazany,
Niżej spaść już nie mogąc, próżen wszelkiej trwogi,
Na przyszłość liczy śmiało, pewny że ze zmiany
W najgorszym, chyba lepsze może wypaść jemu;
Gdy najlepsze się zmienia tylko ku gorszemu.
A więc witaj mi, witaj, nieujęta siło,
Z którą się w ciężkim boju uporczywie łamię!
Nędzarz, którego twoje niewidome ramię
W ostatniej najgorszości przepaść potrafiło
Już nie dba o twą wściekłość!... Ale któż to taki?

(wchodzi Gloster prowadzony przez starca).

Ojciec mój!... prowadzony jakby żebrak jaki!...
O świecie, świecie! świecie! gdyby zmienność rzeczy,
Twych dziwna, nienawiści nie budziła w człoku,
Toby nie wart był życia ten nasz byt człowieczy!

Starzec.

O panie miłościwy! Jam trzy ćwierci wieku
Był dżierzawcą u ciebie i rodzica twego.

Gloster.

Idź sobie przyjacielu, porzuć mię samego.
Mnie twe służby pocziwe na nic się nie zdadzą,
A tobie jeszcze jakieś nieszczęście sprowadzą.

Starzec.

Ach panie! jakże znajdziesz z swą ślepotą drogę?!

Gloster.

Drogę?! żadnej przedemną dziś już drogi nie ma,
To też się i bez oczu dobrze obejść mogę,
Ja com upadł tak ciężko z zdrowiem oczyma!
Tak to nie raz się trafia: zalety nam szkodzą,
Kiedy wady prawdziwe na dobre wychodzą...
O najmiłszy Edgarze! ó biedne me dziecko!
Na pastwę gniewu mego rzucony zdradziecko!
O gdybym dożył jeszcze tej chwili uroczej,
Iżby cię me objęcia ujrzały, ty drogi!
Powiedziałbym, szczęśliwy, że odzyskał oczy!

Starzec (spoglądając na Edgara).

Cóż to jest? kto tam taki?

Edgar (n. s.)

O bogi! o bogi!
Któż rzecz zdoła złych losów przygnębioną siłą,
Dziś już ze mną najgorzej? Nigdy mi nie było
Gorzej jak dziś...

Starzec.

To biedny Tomek opętany!

Edgar.

A pono jeszcze gorszej doczekam odmiany
Póki człek sam swą dolę najgorszą nazywa,
O nie! nie jest to jeszcze najgorszość prawdziwa!

Starzec.

Dokąd że to cię bogi prowadzą, nieboże?

Gloster.

Czy to żebrak?

Starzec.

I żebrak razem i szalony.

Gloster.

Ma choć trochę rozumu, kiedy żebrać może.
Przeszłej nocy, wśród strasznej, dzikiej burzy onęj,
Szukając mego króla, jam się spotkał z takim.
Patrząc nań, rzekłem sobie: człek nędznym robakiem,

Syn mój na myśl mi wtedy przyszedł mimo chęci,
A myśl moja na onczas nie była mu gwoli.
Odtąd wiele posłyszał i wiem, co się święci..
Czem muchy płochęj dziatwie, co psotnie swawoli,
Tem my bogom — gniotą nas, bo im to zabawa.

Edgar.

Cóż się stało? o Boże co za rola krwawa!
Grac warjata przed taką niezmierną żalobą,
I męczyć się by drugich tylko męczyć sobą!
Bóg z tobą, miły panie!

Gloster.

Czy to ów ubog?

Starzec.

Tak, panie miłościwy!

Gloster.

No, to idźże sobie;

A jeżeli z miłości ku mojej osobie
Zechcesz miłą lub ze dwie zrobić jeszcze drogi,
Dogoń mię na gościńcu idąc ku dworowi,
I przynieś jaką odzież temu biedakowi,
Co go prosić chce, aby raczył mię prowadzić.

Starzec.

Panie, toż opętany!

Gloster.

Cóż na to poradzić,

Kiedy taka już wieku naszego choroba,
Że ślepych opętani wodzą... Zróbże bracie
Jak cię proszę, lub raczej jak ci się podoba,
Tylko idź już.

Starzec.

Najlepsze, jakie znajdę w chacie,
Na usługi twe zaraz przyniosę ubranie,
Gdy taka twoja wola, — niech się co chce, stanie!
(odchodzi)

Gloster.

Hola! gdzieżeś biedaku?

Edgar.

Tomek zziął (n. s.) nie mogę
Dłużej tak już wytrzymać... rzucają mię siły...

Gloster.

Pójdź no tutaj.

Edgar (n. s.)

A muszę (głośno) O mój panie miły,
Oczy twoje krwią płaczą?

Gloster.

Znasz do Duwru drogę?

Edgar.

Znam panie, wszystkie drogi na twoje rozkazy;
Konno, pieszo, przez wrota, furtki i przełazy.
Tomkowi rozum z głowy uciekł wystraszony...
O niech Bóg dobrych ludzi od złych duchów chowa!
Biedny Tomek od pięciu naraz nawiedzony!
Siedzi w nim Hoppipidans, ponury niemowa,
Obidikut rozpustnik, Mahu chytry złodziej,
Modo zbójca, i chochlik, co psoci i zwodzi,
Przez którego bywają zwykle opętane
Figlarne pokojówki i garderobiane.
A zatem niech ci pan Bóg, panie błogosławi.

Gloster (dając mu kieskę)

Na, weź to! ty, którego gniewnych niebios wola
Pod ciosy wszystkich swoich plag najśroźszych stawi,

Niechaj szczęściem dla ciebie będzie ma niedola.
Bogi! rządźcie jak zawsze, niechaj zbytkownicy,
Przesyceni rozkoszą, co z waszych praw szyszą,
Co że nigdy nie czuli, nigdy nie widzą,
Niechaj rychło uczują moc waszej prawicy.
Niech się zbytek naprawi w lepszej działu mierze,
Niech każdy gwoli swoim potrzebom odbierze.
Czy znasz Duwr?

Edgar.

Znam go panie!

Gloster.

Znasz? jest tam opoka

Wyniosła, co pochyłem swem czołem z wysoka
Dziko patrzy w odmęty szalejące w dole.
Tam mnie tylko zaprowadź na ów szczyt podniebny,
A ja mam coś tu jeszcze, co ci dam w nadgrocie,
A co hojnie opłaci twą ciężką niedolę.
Ztamąd już mi przewodnik nie będzie potrzebny.

Edgar.

Daj mi panie swe ramię, a ja cię powiodę.
(wychodzi).

Scena II.

przed pałacem Księcia Albańskiego.

(wchodzi Goneryla i Edmund. — Oswald ich spotyka

Goneryla (do Edmunda).

Witam ciebie, milordzie, tu przed swymi progi.
Czemuż mnie nie spotyka mój małżonek drogi? (do Os-
walda)

Gdzie twój pan?

Oswald.

Jest u siebie, miłościwa pani,
Ale jakże zmieniony. Kiedym mu zwiastował,
Że Frank z wojskiem na wasze brzegi wylądował,
Śmiał się; kiedym mu doniósł, że księżna przybywa,
Rzekł: tem gorzej. Gdym mówił o Glosterze zdradzie,
I o szczytnym prawdziwej wierności przykładzie
Jego syna; on głupcem nazwał mnie w tę porę
I rzekł gniewnie, że całkiem na waszak rzeczby biorę.
Coby gniewać go miało, to najbardziej chwali,
Co cieszyć, to go gniewa.

Goneryla (do Edmunda).

Nie pójdziesz więc dalej.

Ha! cielecy bo tego duch ślamazarnika
Na nic się nie odważy: on oczy zamyka
Na wszystkie swe zniewagi, by nie obstać za nie! —
Chęć nasza może rychło i skutkiem się stanie,
Mój Edmundzie. Tymczasem wracaj do Kornwala,
Zbierz co żywo i prowadź sam do boju mężę;
Twoja dzielność niech wojska odwagę zapala.
A ja tutaj się muszę mieniać na oręż
I zasadzić małżonka swego do kądzieli.....
Pośrednika w tym wiernym słudze będziemy mieli,
A podobno, niebawem, jeśli duszą chrobrą
Odważysz się po własne swoje sięgnąć dobro.
Posłyszysz z ust kochanki rozkaz; noś to znamie!

(przypina mu kokardę)

Nie nie mów! uchył czoło! (całuje go) O! gdyby
słowami

Mógł się ten pocałunek wypowiedzieć śmiało,
Moc olbrzymią by w ciebie jego płomień wlało!
Zrozumie!., Zegnam ciebie, spiesz gdzie chwala
czeka!

Edmund.

Jam twój, pani, na wieki i w życiu i w grobie!
(wychodzi)

Goneryla.

O najdroższy mój Gloster! Jakże człek do człeka
Niepodobny! O! tobie winnam służyć, tobie.....

Oswald.

Pani! Książę nadchodzi.
(wchodzi Ks. Albański)

Goneryla.

Wartaż byłam przecie,
By choć świsał ktoś, kiedym wchodziła w te wrota!

Ks. Albański.

Gonerylo! tyś warta mniej niż podle śmiecie,
Którem wicher niesforny w oczy tobie miota.
Niepokoi mnie bardzo twe usposobienie,
Bo taki, co tem gardzi, zkaż wziął swe istnienie,

Pewno w niczem swych niecnym nie oświadczy chuci.
Gałąź, co się samochcąc odszczepawszy, rzuci
Pięń rodzimny, żywiący, zwiędnie nie odbicie,
Uschnie i śmierci tylko pójdzie na użycie.

Goneryla.

Dość tego! już mi nudzą te perory!

Ks. Albański.

Madrość, cnota, podłemu, podłością się zdają,
A brudne dusze w brudach tylko podobają.
Cożecie uczyniły wy, srogie potwory,
A nie córki?! powiedziecie! coście uczyniły?!
Ten ojciec taki dobry, starzec taki miły!
Gdyby dzikie zwierzęta deptały stopy swemi,
Liżąc by je z pokorą przypadły do ziemi!
A wy, wy?... gdzież jest równie wyrodney a podły
Czyn w świecie? do szaleństwa wyście go przywiodły!..
Mógł że brat mój pocziwy wam pozwolić na to,
Jako człek, jako Książę, on co tak bogato
Dobrodziejstw przez tego starca osypany?!
O! gdy ujdą bezkarnie te zbrodnie, jeżeli
Bóg w widomej postaci nie zesle mścicieli,
To się, jak te potwory co je oceany
Żywią w swęj nieczłowiecznej, straszliwej otchłani,
Ludzie z ludźmi pożerać będą wyuzdani.

Goneryla.

Tchurzu! co do wzdary masz stworzone lica
I głowę do zniewagi, coć na oczach zbywa
Zdolnych jasno rozpoznać, jaka jest różnica
Czci od hańby! co nie wiesz, że gdy sprawiedliwa
Kara sięga zbrodniarza, nim zbrodni domierzy,
Głupiec tylko litosne żale po nim szerzy!
Tchurzu! dlaczego nie grzmiały twe kotły bojowe?
Wróg rozwinął już sztandar wspięty Albionie,
W hełm stalowy okutą groźnie podniósł głowę,
Śmierć bliska, a ty stoisz załamawszy dlonie,
Ty mazgają cnotliwy, i wołasz, o Boże!
Jakże się on dopuścić takiej krzywdy może?!

Ks. Albański.

Obacz się, furjo wściekła! ach! co za ohyda!
Czaść się z taką, mniej straszny, niż kobieta wyda!

Goneryla.

Głupcze!

Ks. Albański.

O ty obłudna istoto zwodnicza!
Wstydz się nie spotwarzać tak swego oblicza!
Gdybym cię nie szanował, gdyby mi przystało
Puścić ręce, gdzie krew je unosi burzliwa,
Wproch by one tu starły twe kości i ciało,
Lecz cię postać niewieścia, djablico zakrywa!

Goneryla.

Nuże! pokaż swe mężstwo!

(wchodzi goniec).

Ks. Albański.

Cóż? jakie tam wieści?

Goniec.

O mój panie najmilszy, jam zwiastun boleści!
Książę, brat wasz, nie żyje, raniony głęboko
Mieczem własnego sługi, gdy chciał drugie oko
Wyłupić Glosterowi!

Ks. Albański.

Oko Glosterowi!?

Goniec.

Sługa, co w jego zamku cały wiek swój przeżył,
Ze zgrozą okropnemu oparł się czynowi,
I mieczem o miecz z własnym panem swym uderzył;
Książę wpadł nań piorunem w ślepym gniewu szale
I u nóg go swych trupem wnet położył; ale
Nie mógł wszakże od ciężkiej rany ustrzedz siebie,
Która nam go wydarła!

Ks. Albański.

Jest więc jeszcze w niebie
Sprawiedliwość, co rychło sięga gromy swemi
Najzuchwalszych zbrodniarzy na tej jeszcze ziemi..
Biedny Gloster! i drugie oko mu wydarło?

Goniec.

Oboje miły panie! oboje! (podaje list Goneryli)

Z tą kartą

Od twojej siostry pani wysłany dziś rano,
Biegłem co koń wyskoczy, spieszyć mi kazano
Z odpowiedzią twą: Księżna tam liczy godziny.

Goneryla (n. s.)

W pewnym względzie to dla mnie przyjemne nowiny,

Lecz siostra moja wdową i mój Gloster u niej.
Czyliż gmach ten ciałem siłą swęj fantazji wzniosła,
Przez nią w gruzy zwalony, na mą głowę runie?
Bądź co bądź, zawszem jednak rada z tego posta.

(głośno)

Wnet przeczytam i dam ci odpowiedź żadaną.
(wychodzi).

Ks. Albański.

Gdzież był syn, kiedy oczy jemu wydzierano?

Goniec.

Do zamku tego księżnej towarzyszył w drodze.

Ks. Albański.

Tu go nie ma.

Goniec.

Tak, panie! odjechał z powrotem,
Spotkałem go przed chwilą

Ks. Albański.

Czyliż wie jak srodze
Ojciec jego skrzywdzony?

Goniec.

Wie on dobrze o tem.
Sam go wydał przed księciem i uciekł niegodnie;
By mu tam bez przeszkody, za mniemane zbrodnie,
Te nieludzkie, straszliwe zadano katusze.

Ks. Albański.

O Glosterze! Glosterze! klęę się na mą duszę,
Że twą miłość dla króla odwdzięczę jak warto,
I pomszczę biedne oczy które ci wydarło.
Pójdź ze mną, przyjacielu. Co się więcej stało,
O wszystkim chcę od ciebie słyszeć prawdę całą.

Scena III.

Obóz francuzki pod Duwrem.

(wchodzi Kent i Rycerz.)

Kent.

Czemuż to król francuzki, czy nie wiesz przyczyny,
Tak nagle zjad do swojej powrócił krainy?

Rycerz.

Zostawił nieskończone ważne jakieś sprawy,
O których tu przybywszy, kiedy wspomniał, nagle,
Pełen o dobro kraju troski i obawy,
Z powrotem do ojczyzny swęj rozwinął żagle,
Bo sam tylko zaradzić może tej potrzebie.

Kent.

I kogoż tu nad wojskiem postawił za siebie?

Rycerz.

Marszałka de la Fort'a

Kent.

Jakże listy owe,
Czy bardzo swoją treścią wzruszyły królowę?

Rycerz.

Tak panie, z rąk je moich wzięta i czytana
W mojej obecności, a raz wraz obfita,
Łza cicha po uroczym języcu spadała.
I była snąc w jej duszy sroga walka skryta,
W której, jako królowa, oświadczyła tym bólem,
Co jak hardy buntownik nad nią chciał być królem.

Kent.

A więc była wzruszona?

Rycerz.

Tak, lecz choć głębokiem,
Pełnem jednak spokoju było języcu wzruszenie,
Rzekłabyś że z rezygnacją walczyło cierpienie.
Kto ją wyższym, cudniejszym ozdobi widokiem?
Widziałeś, jakim wdziękiem jaśnieją niebiosy,
Gdy wraz słońce się iskrzy i deszczu mrzy rosa?
Ona była od niebios tych piękniejsza jeszcze,
Zdobna w blaski uśmiechów i łez swoich deszcze.
A uśmiechy te błogie, tak wdzięcznie, pieściwie,
Igrały na jej ustach krańców jak korale,
Jak gdyby o tych gościach nie wiedziały wcale,
Co się z serca do oczu cisnąc natarczywie
Z nich na lica jej biegły i spadały lśniące,
Bujne, kragłe jak perły z brylantów kapiące.
Gdyby wszyscy w żalosci mogli być takimi,
Nieby nad nią miłszego nie było na ziemi.

Kent.

Nie rzekłaż ani słowa?

Rycerz.

Prawda, w swęj boleści,

Jakby z piersi zgniecionych niezmiernem brzemieniem,
Parę kroć imię ojca jęka z wysileniem.
„Siostry! siostry! — wołała, — hańbo płci niewieściej,
Kent! ojciec! w taką burzę! w nocy! siostry moje!..
Gdzież się litość podziała? A w tem święte zdroje
Wytrysnę z jej niebieskich oczu, zatopili
Jęk bólu, z którym walczyć nie mając już siły.
Powstała, i snąc ukryć chcąc swój żal głęboki,
Spieszni do komnaty swój odeszła kroki.

Kent.

Tak, tak! gwiazdy to, gwiazdy, co tam świecą
w górze.

Dykują swoje prawa człowieczeń naturze,
Bo jak pojąć inaczej tę dziwną różnicę
W dzieciach, co je ciż sami wydali rodzice?...
Nie że z tobą już więcej nie mówiła potem?

Rycers.

Nie panie.

Kent.

Czy to było przed króla powrotem?

Rycers.

Po odjeździe już.

Kent.

Dobrze. Lir nasz nieszczęśliwy

Jest tu. Nieraz się trafi, że w jaśniejszej chwili
Przypomni sobie, w jakim celuśmy przybyli;
Lecz za nic nie chce widzieć swęj córki.

Rycers.

Cóż to jest?!

Kent.

Wstyd okropny staje mu na drodze,
Gdy wspomni jak ją z domu swego wygnał srodze
W kraj obcy na przygody i niebezpieczeństwa,
Jak ją wyzuł i z wiana i z błogosławieństwa:
To mu serce najsroższym jadem się napawa.
Srom go taki przenika uczuciem boleści,
Że nawet na Kordelję spojrzeć nie ma siły.

Rycers.

Biedny pan!

Kent.

O książkach masz że jakie wieści?

Rycers.

Tak jest: zbrojne ich szyki w pole wystąpiły.

Kent.

Niechże cię zaprowadzę do naszego pana,
I na służbie przy jego osobie umieszczę.
Ważne bardzo powody zmuszają mię jeszcze
Skrywać się bez imienia, lecz gdy pożądana
Chwila przyjdzie, i rzucę maskę którą noszę,
Bądź pewnym, że się gniewać nie będziesz na siebie
Za pomoc, coś mi podał w tej smutnej potrzebie: —
Hojnie ci się odwiedzczę! Pójdźże za mną, proszę.
(wychodzą)

Scena IV.

W temie miejscu, namiot.

(wchodzi Kordelja, Lekarz, Żołnierz)

Kordelja.

Niestety! on to właśnie! on sam! chwila temu
Widziano go. Podobny morzu burzliwemu,
W szale swym wyśpiewuje wesołemi tonem,
A na skroniach ma wieniec z zielska upleciony
Z ostu, cząbrku, piołunu, kakułu, pokrzywy
I różnych dzikich chwastów, jakie nasze niwy
Między zbożem wydają. Niech natychmiast skocz
Setka naszych żołnierzy; niech każdy morg ziemi
Przejrzy pilnie pomiędzy łany zbożowemi,
Niech go znajdzie i stawi wnet przed moje oczy.

(oficer wychodzi)

O jeśli ludzka mądrość ma sposoby na to,
By mu zmysły stracone przywrócić na nowo;
Takiemu co go zleczy — Bóg słyszy me słowo,
Wszystko co dziś posiadam, niech będzie zapłatą!

Lekarz.

Tak, są na to sposoby, pani miłościwa!
Najlepszym dobroczyncą w takich razach bywa
Sen cichy, i takiego właśnie mu potrzeba.
Owoż by go sprowadzić, mamy, z łaski nieba,
Pod ręką bardzo proste a skuteczne leki,
Których moc najsmutniejsze zamyka powieki.

Kordelja.

O niechajcie pod łzami wystąpią moimi
Wszystkie, dotąd ukryte zbawcze siły ziemi!
Wszystkie jej tajemnice! Niechaj mi pomogą
Uratować tę biedną duszę tak mi drogą!
Szukajcie go! szukajcie! boję się, by w szale
Tym gwałtownym, niezdolny sobą władać wcale,
Życia swego na zgubę nie naraził!

(wchodzi goniec)

Goniec.

Pani!

Ważne wieści! Brytańskie już tu ciągną siły.

Kordelja.

Wiem o tem. Na spotkanie już przygotowani
Czekamy ich przybycia. O mój ojciec miły!
Tyś to celem jedynym mego przedsięwzięcia.
Szlachetny król Francuzki, przez moje zakłęcia,
Przez boleść i lzy moje czule poruszony,
Dał się wreszcie nakłonić do twojej obrony.
Nie pycha, nie wojennych łupów żądza krwawa,
Tylko miłość nas wiedzie na te srogie boje,
Miłość tylko i ojca skrzywdzonego prawa!..
Gdybyż prędzej go mogły ujrzeć oczy moje.

(wychodzą).

Scena V.

(Sala w zamku Glostera)

wchodzi Regana i Oswald.

Regana.

Czy wojska mego brata już ruszyły w pole?

Oswald.

Tak, pani.

Regana.

Czy on z niemi?

Oswald.

Z niezmiernym kłopotem,
Przyszło skłonić ku temu, wstrętną jego wolę.
Z księżnej lepszy jest żołnierz.

Regana.

Czy też za powrotem
Hrabia Edmund się widział z księciem twoim panem?

Oswald.

Nie, pani.

Regana.

Cóż jest w piśmie, do niego wysłanem
Od mej siostry?

Oswald.

Nic nie wiem, miłościwa księżno!

Regana.

Ruszył on ztąd, wiedziony pobudką potężną...
Zbłądziliśmy niezmiernie, że oczu zbawiwszy
Tego starca, i życia nie wzięli mu razem.
Dziś, gdzie zwróci się, wszędy swęj nędzy obrazem
Przeciw nam okrzyk pomsty wnet budzi najżywszy.
Edmund zatem, synowskimi współczuciem wie-
dziony,

Dla tej jego niedoli, spiesz doń z pomocą
Ku wyjściu z tego świata, co ponurą nocą
Dlań się okrył na zawsze; a z drugiej też strony
I siły naszych wrogów chce poznać dokładnie.

Oswald.

Więc mi za nim z tem pismem biedz w pogoń wy-
padnie.

Regana.

Wojska nasze wystąpią też jutro o świcie,
Zostań z nami; inaczej możesz swoje życie
W tej podróży narazić.

Oswald.

To zapłacić, nie mogę zwlekać ani mgnienia,
Bo pospiech zaleciła mi księżna surowo.

Regana.

Po co pisać do niego? czyżbyś jej zlecenia
Nie mógł ustnie mu oddać? Coś się tutaj święci...
Nie wiem co, ale... słuchaj! daj mi z pod pieczęci
Wyrwać tę tajemnicę, a ujrysz co znaczy
Łaskę moją pozyskać.

Oswald.

Pani! jabym raczej.....

Regana.

Wiem, że pani twa męza nienawidzi szczerze;

To pewna; a widziałam, jak spojrzaniem wabi,
Jak się wdzięcznie przymila do młodego hrabi,
Ty zaś jej powiernikiem serdecznym w tej mierze.

Oswald.

Ja, pani?

Regana.

Wiem, co mówię to zaręczyć mogę.
Wszelakoż przyjm odenie zbawienną przestrożę.
Mój małżonek nie żyje; hrabia Edmund ze mną
Już związany niejako umową tajemną,
Bo też więcej on dla mnie niż dla niej przystoi,
Resztę sam się domyślisz... Owoż jeśli w drodze
Spotkasz go, to mu oddaj, a zaś pani swojej
Poradz, niechaj zapędom swym powściągnie wodze.
Bądź zdrow. A gdy przypadkiem wpadnie ci pod rękę
Slepy zdrajca ów stary, pomnij, że kto mękę
Jego skróci, największą mieć będzie nagrodę.

Oswald.

O jeżeli mi szczęście w tym względzie posłuży,
Co daj Boże, to czynem natychmiast dowiodę,
Za kim ciągnę.

Regana.

Szczęśliwój życzę ci podróży!

(wychodzą)

d. e. n.

KILKA SŁÓW O POWIEŚCI

PRZEZ

Stanisławę I..

(Dokończenie).

Każdego, kto chętnie czyta dziś powieści, musiało
także uderzyć wprowadzenie do nich jakoby nowego
typu kobiety kokiety, kurtyzanki, igrającej z naj-
droższymi uczuciami, a nie kłoniącej czoła przed
żadną świętością. Sama nazwa cudzoziemska użyta
tutaj, dowodzi że te zatrute i nęcące kwiaty, nie na
naszej ziemi wzrosły, a nie muszą, znów tak być lic-
ne, kiedy dotąd nie uzyskały polskiej nazwy, prawa
obywatelstwa.

Szukam wśród kółka bliższego, w promieniu dal-
szych znajomych, różne między niemi spotykam ko-
biety; wiele z nich grzeszy brakiem rozwinięcia po-
ważniejszej myśli, głębszego poglądu; są słabe, lekko-
myślne, bawiące się życiem, bo odebrały, jak po więk-
szej części dotąd się dzieje, wychowanie bez podsta-
wy moralnej i rozumowej, z większym naciskiem na
powierzchnowe niż wewnętrzne zalety, ale tak strasz-
nie zepsutych, przerażających przewrotnych, złych
z gruntu, z cynizmem w sercu, nihilizmem za godko
życia wziętym, nie widzę. Jeżeli takich nie znam,
to pewnie nie dlatego, jakoby mieszkała w jakie,
błogosławionej krainie, gdzie zepsucie nie dosięgło
a raczej że ich nie ma tak wiele. Czemż więc w po-
wieściach występują tak często, czemu podniesiono
je do godności typu, gdy są dotąd wyjątkami? Podo-
ba w nich sobie mianowicie p. Kraszewski, który je
wszędzie prawie wprowadza i przyznać trzeba że je po
mistrzowsku rzeźbi, w szatańskie stroi powaby.

Niemozna wprowadzić autorom przepisować, jakie
mają do swych powieści wybierać postacie, jakie
wprowadzać typy. Rozmaitość tu prawem i boga-
ctwem, ale rozmaitość prawdy nie wyłącza, ale typ
powinien znaleźć w rzeczywistości usprawiedliwienie.
Jeżeli powieść ma być odwzorowaniem społeczeństwa,
to jej za zaletę poczytać nie można upodobania, w je-
dnostronnem malowaniu wyjątkowych jego stron
najczarniejszych. Kiedy zepsucie przeważa w po-
wieści i powtarza się zbyt często, denerwuje ogół,
paczy jego wyobrażenia, dając mu wyjątek za ogólną
normę. Względ ten moralny powinienby zwrócić
uwagę pisarzy, z powodu swęj doniosłości; zgodność
z rzeczywistością więcej uszanowaną, być winna, po
cóż ją nie tylko odzierać z poezji, ale jeszcze niedo-
statki zwiększać i mnożyć.

Zaznaczyć tu także ciekawe spostrzeżenie wypada,
że o ile postacie dodatnie, po większej części wychod-
zą z pod dłuta artystów niekształtnie, ułomnie, jak-
by ich nie stać było na wyższy ideał i mistrzowskie
obrobienie, o tyle kameliowe damy, przeniesione do
nas z paryżkiego demimonde, są genialnie wykończo-
ne. Mają one krew i ciało, ruszają się, działają, a co
najwybitniej zaznaczam, wierne są szatańskiej swęj

roli z żelazną konsekwencją. Smutny to objaw! czy natchnienie czystego piękna zupełnie od nas uleciało? Czyż nam godnych wzorów rzeczywistość nie dostarcza, czy też wreszcie, my dla tego piękna zmysłu nie mamy?

Jasne postacie, typy dodatnie, mniej pożądaných podają światu czytającemu wrażeń. Biała niewinność nuży oko, promienie światła je rażą, wielkość imponująca cnoty i silnej woli upokarza, wytrwałość w dobrem nudzi, lawa wrzących namiętności, podeptanie praw wszelkich, upadki, skandale, same proszą się do obrazu, podają karmy jaskrawe, budzą naprężone zajęcie, książka się rozkupuje, czytelnik chciwie ją pochłania dech powstrzymując. Ale pisarz do zepsutego gustu publiczności naginać się nie może, on ją przenosić powinien wysokim pojęciem, górować nad nią potęgą talentu i uszlachetniającą godnością ludzką, prostować jej skrzywiane drogi, aby na nich łatwiej prawda i szczęście zakwitły.

Jakaś fatalistyczność, konieczność upadku, niemożność powstania, niepodobieństwo odszukania utraconego szczęścia, odjęcia się rozpacz, zastępująca dziś podniosłe ideały wyżyny, wszędzie się spotyka, jest jakoby czasową aberacją. Weźmy np. śliczny, pełen rzewnego nastroju obrazek poetyczny p. Illickiej „Kandjotka“.

Na pobojowisku krwią ociekłem, gdzie tylko co, straszny dramat odegranym został, przy srebrnej księżycowej poświacie, młoda dziewczyna poszukuje doli swej między trupami. A dola czyha na nią straszna, niebłagana — musi się pożegnać ze wszystkim, co szczęścia obietnicą brzmiało jej w przyszłości. Tu oto leży brat najstarszy, chluba i nadzieja całego rodu, z wierną krzywą szablą w stęzałej prawicy — dalej brat drugi, trupami Turków jak szanem opasany, co piersią swą chciał najmłodszego, pieczętując matkę chronić, aż legł obok niego po cudach rozpacznej odwagi. A dalej, tam dalej, to narzeczony jej młody — z rany krew mu ubiegła gorąca, żal za młodem uchodzącym życiem wybił się na obliczu i zmieszał się z dumną odwagą. Dziewczyna klęka przy nich, cicha jak cień, na czołe każdego pożegnany składa pocałunek, i machinalnie odmawia modlitwy za zmarłych. W tej strasznej chwili, pod wrażeniem strat tyłu, nie pękło jej serce, ani jeden krzyk rozpacz z ust nie wybiegł ku wielkiemu Bogu, który patrzył z nieba, i swemu słońcu przyświecać kazał tej morderczej walce, co ostatni cios wolności Kandjotów zadała, i najdzielniejszych bohaterów w śmiertelne pochwyliła uściski. Błędą dziewczynie wszystka krew z lica uciekła, wyschło ożywcze źródkło; wróciła do wioski i odtań żyła jak urzeczona, machinalnie spełniając codziennego życia powinności. Nigdy już uśmiech na bladych jej nie zagrościł ustach, nigdy łza nie zwilgótowała suchego oka, nigdy nie zabłysnęło ono życiem.

Pięknym jest ten obrazek poetyczny i rzewny, ale czytelnik z rozdarciem rzuca go sercem, ciężko mu w tej dusznej atmosferze, gdzie nie błyska ani jeden promyk nadziei, gdzie przyszłość ziemską w okowy bólu ujęta, wytwarza czarodziejskie zaklęte koło, w którym myśli zawrotnie wirują. P. Illicka wyłożyła całej poezji byłaby nadała nastrój, głębsze znaczenie, wskazując pociechę, cel życia biednemu dziewczęciu, które w jednej pochłaniającej skamieniałe boleści, zbyt jest panteistyczne.

To cierpienie ciche, w sobie skupione, nie widzące nie poza sobą, i wiodące koniecznie do apoteozy bólu, jest niezdrowe do najwyższego stopnia dla rozdrażnionych umysłów naszego społeczeństwa. Trzeba mu się opierać, wydierać się z objęć jego opasujących nas złudnie poetycznym łańcuchem, trzeba nań oddziaływać, bo inaczej świat nieszczęście jak Boga uczei, nieszczęściu stawiać będzie ołtarze.

Dla serc dotkniętych wiekiem, nieuleczonym bólem, ciężkim sieroctwem, jedna jest tylko przystań, jedna droga do zbawienia wiodąca, wielka ludzka miłość. W jej ożywczych promieniach niech się kąpią, niech pracując dla drugich zapomną o sobie, a wtedy cierpieniu odejmą trujące żądło, zabijające twórczość i otworzą dla ludzi skarby zamkniętego dotąd serca. Bo jestto prawda doświadczeniem stwierdzona, że w bólach drugich milkną własne bóle pierś się rozszerza, topnieje egoizm cierpienia, co na wszystko czarna, żalobna narzuca zasłonę.

W naszym wieku chłodnej niewiary, kiedy nam filozofia usunąć chce Boga, stawiając na Jego miejscu pierwszą przyczynę, kiedy rozumowanie zabiło nam szczęścia nadzieję, brak poezji wiarę w prawdziwą miłość odebrał, w cóż wierzyć będziemy, gdzie po-

szukamy zaspokojenia naszych wyższych pożądań, gdzie skierujemy kroki biedne rozbitki bez Boga, bez szczęścia i bez miłości? Na każdym kroku napotykamy pojęcia, chorobliwe zabijające twórczość i szczęście. Żle z niemi biednej, prozaikiej bólem ludzkości, którą coraz sroższe skuwają kajdany, czujemy to wszystko, ale nie staramy się oddziaływać przeciw złemu skutecznie.

Każdy pisarz, na jakimkolwiek stanowisku, bo każde jest wpływowo, każdy człowiek w zakresie swego działania, ma na to środki w swym ręku, każdy pracować winien usilnie nad sprostowaniem tych pojęć zasadniczych, ogólnie dziś fałszowanych; staną się one kamieniem węgielnym przyszłej reformy odrodzenia która spodziewana, upragniona nastąpić musi, jeżeli wszyscy chętnie do tej pracy przyłożymy dłonie. Niech filozof szuka prawdy zgłębiając tajemnice Najwyższej Istności i praw człowieka, ale niech w śmiałych hipotezach, aby oszczędzić prób niebezpiecznych, korzystać zechce z pracy duchowej swych przodków, z doświadczenia przeszłości, bo ona mu zostawiła w spuściznie dorobek krwi i potu swego.

Niech pracownicy poważnej czy lekkiej literatury, wierzą w wpływ, jaki prace ich wywierają i stawiają je na odpowiedniej wysokości. Obok niezbędnego dla wymagań prawdy i prawa kontrastu, upadku słabych, niech stawiają postacie podniosłe, jasne i jednolite, czerpiące szczęście w szlachetnej swej naturze i wyższym rozwinięciu, mające serce zdolne do jednej tylko miłości, która się staje potęgą ich życia, szczęściem i zbawieniem.

Wiele bardzo przyznajemy wpływu wychowaniu, a wszakże powieść także w dalszym ciągu wychowuje masy. Wpływa na ogół. Czem higiena dla zdrowia ciała, tém wyższa, głębiej pojęta moralność, której zasady poruszyłam w powieści, da zdrowe soki chorobliwemu społeczeństwu i ujmie prawdę w samym rdzeniu. Każdy pisarz sumienny, to apostoł, to prorok, co idzie naprzód nowe odkrywając drogi, co wiedzie za sobą ludzkość, od ziemi, przez ideał prawdziwego piękna i prawdy, przez szczęście, do Boga!

PANNA DE SENNEVILLE

PRZEZ

M. DE BAZANCOURT

PRZEKŁAD Z FRANCUSKIEGO

P. K. P.

(Dalszy ciąg.)

Widać że miłość barona musiała być prawdziwą i bardzo silną, skoro bez wahania przyjął rolę drżącego i lęklivego wielbiciela, skoro jedno spojrzenie lub nawet smutny uśmiech, uważał sobie za nagrodę. Zaledwie niekiedy, na przechadzce lub wieczorem, kiedy reszta towarzystwa zasiadała do wista, mógł potajemnie przemówić kilka słów do hrabiny, gdyż pani de Thourval sama unikała sposobności pozostawiania z nim razem.

Łatwo można pojąć radość pana de Valdow, kiedy już był pewny że będzie mógł towarzyszyć hrabinie na ślub panny de Grennefiel. Zawczasu już myślał co jej ma powiedzieć, i nazajutrz w oznaczonym czasie przybył do pałacu.

Panna de Senneville piękniejszą jeszcze była jak zazwyczaj, szczęście przyjaciółki zdawało się odbijać na jej licach. Najprzód udano się do miera, a kiedy Amelja zajęta tylko swą przyjaciółką wynurzała jej swą radość, że ją widzi szczęśliwą, i podziwiała że jej tak pięknie w ślubnym welonie, baron zbliżył się do hrabiny i jak o najwyższą łaskę błagał ją aby zezwoliła na chwilę tajemnej rozmowy skarżąc się, że nawet w czasie jego kilkogodzinowego pobytu w zamku Seville, nie dozwoliła mu nigdy korzystać ze sposobności, pomówienia z nią bez świadków.

Hrabina odmówiła; Eugeniusz spodziewał się tego, lecz kiedy drżącym głosem zaczął opisywać jej swe cierpienia, twarz jego tak głęboko wyrażała smutek, że hrabina zadrżała i postanowienie jej słabnąć zaczęło. Wszakże pan de Valdow pierwszy raz prosił ją o jakąś łaskę; za całą miłość swoją, chciał być wynagrodzony godziną rozmowy. Odpowiedziała więc tak jak zawsze odpowie kobieta, jeżeli nie może powiedzieć nie, a nie śmie wyrzec tak.

— To niepodobna, nie mogę zezwolić...

Pan de Valdow wyrzekł w ten czas cichym, lecz błagającym głosem:

— Dziś wieczór mają pani i P. de Beaulieu wybierać się w sąsiedztwo, pani miała także z nimjechać, powiedz że jesteś zmęczoną, cierpiącą i pozostaj. Mąż sam pojedzie. Przez litość, nie odmawiaj mi kilku chwil szczęścia. Przejdę przez lasy otaczający pałac, nikt mnie nie dostrzeże, a ja błogosławić cię będę przez całe życie.

— O! nie!.. nie! rzekła hrabina, nie chcę, nie mogę zezwolić, to być nie może; hrabia mógł zmienić zamiar, może pozostanie w domu.

— Nie lękaj się pani, odpowiedział cicho baron, przybierając minę obojętną aby nie zwrócić uwagi obecnych; zachowam wszelkie ostrożności, zanim przyjdę dowiem się czy hrabia wyjechał.

— Ah mój Boże!.. wyszeptała hrabina, i oddaliła się od niego. Eugeniusz poszedł za nią.

— Przyjdę, rzekł do niej, lecz posłuszny twemu skinieniu, odejdę jak tylko każesz.

— Czy przysięgasz na to, zapytała hrabina, drżąc ze wzruszenia, i z obawy aby tego wzruszenia nie dostrzeżono.

— Przysięgam, odpowiedział Eugeniusz. Dziś wieczorem, o dziewiątej godzinie...

Wejście mera przerwało rozmowę; rodzina i przyjaciel otoczyli młodą parę, i rozpoczęto formalności. Po skończeniu ich całe towarzystwo udało się do kościoła.

Ceremonie ślubu posępne myśli budziły w umyśle hrabiny, i smutkiem przejmowały jej serce. Przypominało jej ten dzień, w którym także zbliżała się do ołtarza przystrojona w kwiaty osłonięta ślubnym welonem; dzień który związał ją na zawsze, na złe czy dobre losy, z człowiekiem znanym jej zaledwie. Przypominała sobie przeszłość, widziała te różnice; zgłębiła własne serce, badała sumienie, i lzy cisnęły się jej do oczu. Każde poruszenie, każde słowo wymówione przez pannę de Grennefiel, przywodziło jej na pamięć jej własne ruchy i słowa, wymówione w owym dniu pamiętnym.

Z kościoła udano się do ambasady angielskiej, gdzie w sali tronowej miał się odbyć ślub, według obrządku angielskiego. Hrabina de Thourval towarzyszyła młodej parze, gdyż Amelja nie chciała ani na chwilę opuścić przyjaciółki. Tam właśnie serce hrabiny wystawione zostało na najsilniejszą próbę. W miejscu przepelnionem wspomnieniami lekkiego życia światowego, wspomnieniami balów i uroczystości, odbywał się teraz poważny obrządek religijny. Salon zamienił się w kościół, i dwie osoby modliły się gorąco, klęcząc na tym samym kobiercu, po którym stapały tyle razy w pośród świetnych i hucznych zabaw.

Sprzecznosc tych wspomnień z powagą obecną chwili, musiała koniecznie silnie wywrzeć wrażenie. Zdawało się że nie przebrzmiało jeszcze echo balowej muzyki, że spłoszone powagą obecną chwili, ukrywa się wśród fałd kosztownych draperji zdobiących ściany. Nie było teraz tych strojnych i ożywionych tłumów zapelniających zwykle salę, lecz naprzeciwko tronu stał poważny, białowłosy starzec, to wznoszący oczy ku niebu, to znów spuszczaający je na młodą parę, którą miał połączyć. Ze stołu znikły wszystkie albumy, sztychy i książki znajdujące się tam zwykle. Po jednej stronie leżała Biblia, po drugiej książka do nabożeństwa. Pani de Thourval silniej niż ktokolwiek inny uderzona tą sprzecznoscia, zostawała pod wpływem uczucia, którego sama nie umiała określić. Zdawało jej się że każdy z oczu i twarzy może wyczytać przygniatające ją cierpienie, i odgadnąć wewnętrzną jej walkę; stanęła więc w najodleglejszym końcu salonu i skryła się za filarem. Tam uczuła się bezpieczniejszą i mogła bez obawy oddać się wzruszeniu. Oparła głowę o filar i słuchała uważnie.

Grono krewnych i przyjaciół stało po za młodą parą klęczącą przy sobie. Przed nią stał biskup angikański. Postąpiwszy parę kroków wyrzekł uroczystym głosem następujące słowa:

„Moi bracia, zgromadziliśmy się w tem miejscu, aby tego mężczyzny i tej kobiety połączyć świętym węzłem małżeństwa, ustanowionego przez Boga w czasach pierwotnej niewinności. Teraz zwracam się do was którzy tu klęczycie z pochyloną głową i złożonymi rękami, zapytuję was i błagam abyście mi odpowiedzieli jak odpowiecie w dzień sądu ostatniego, kiedy głos Boga zapytuje, a wszelkie tajemnice serca

są znane, powiedźcie czy nie znacie jakiej przeszkody do tego małżeństwa? Mówcie także wy wszyscy którzy mnie teraz słyszycie, mówcie szczerze i sumienie; jeśli zaś teraz zachowacie o czym milczenie, obowiązkiem jest waszym zamilczyć o tem przez całe życie."

Umilkł, i przez chwilę słychać było cichy szept modlitwy wymawianej przez obecnych.

Biskup zbliżył się do młodej pary i połączył jej ręce.

Pan młody wyrzekł wtenczas głośno:

"Biorę cię za małżonkę tu, i na zawsze czy będziesz dobrą lub złą, bogatą lub ubogą, silną lub słabą, aby cię wspierać, opiekować się tobą i kochać cię póki śmierć nas nie rozłączy; przed Bogiem i ludźmi ślubuję ci wiargę."

Panna młoda powtórzyła te same słowa.

Ktoby w tej chwili spojrział na panią de Thourval, byłby dostrzegł że drżące jej usta wymawiały też same wyrazy, i dwie łzy spłynęły na jej lica.

Biskup położył ręce na ręku oblubieńców i rzekł.

Boże Abraama, Boże Izaaka, Boże Jakóba, błogosław twoje dzieci i sługi. Teraz wy wszyscy kochający tę młodą parę, uklękniście i proście o ich szczęście, proście aby ich Bóg błogosławił, aby u swych dzieci znaleźli miłość i poszanowanie. Wy zaś oboje nie zapominajcie nigdy swojej przysięgi; ty oblubienice pamiętaj, że od tej chwili ta kobieta należy do ciebie, abys się nią opiekował, kochał ją i bronił; że jest twą domownicą nie zaś niewolnicą, towarzyszką na drodze twego życia, która ciągle iść będzie obok ciebie, żądając abys udzielił jej siły, której nie posiada. Ty zaś oblubienico wznieś z ufnością oczy ku niebu czystemu jak twe serce, pamiętaj zawsze o wykonanej oblubieńcowi przysiędze, cokolwiek przyniesie ci przeznaczenie, szczęście czy niedolę, nędzę czy bogactwo, do nikogo nie możesz należeć tylko do niego, gdyż on jest twym przewodnikiem i przyjacielem. Bądź mu wierną tak myślą jak sercem, odegnaj zdale od siebie szatana, pociągającego cię ku złemu, zamknij jego poszeptom drogę do swego serca, gdyż całą twą siłę stanowi cnota i czystość duszy; nie zapominaj nigdy że wierność jest najkosztowniejszym skarbem twojego życia. O! zachowaj ten skarb mienaruszony zaklinam cię i błagam; gdyż inaczej Bóg ukarze cię na twych dzieciach odmawiając im swego błogosławieństwa, lub wydzierając ci je na zawsze. Niechaj cię wspierają modlitwy wszystkich tu obecnych, i błogosławiącego cię pasterza."

W czasie tych słów starca hrabina padła na kolana, i złożyła ręce; przed chwilą powtórzyła słowa przysięgi, a teraz błagała Boga, aby jej udzielił siły i wytrwałości.

Słuchała tej prostej i wzruszającej mowy z całą goryczą budzących się wyrzutów sumienia, z pobożnością i głębokim smutkiem, jeśli nie była jeszcze występna, to czyż tak wiele brakowało do tego, czyż nie grzeszyła już myślą i sercem? Przez kilka chwil klęczała prawie bezsilna, nie ocierając nawet łez płynących po jej twarzy.

— O! rzekła w końcu, niech będzie błogosławiona ręka Boża, że mnie tu zaprowadziła, abym usłyszała te święte słowa, one mnie zbawiły!...

Wstała, piękna jej twarz mniej była bladą jak przed chwilą kiedy klękała; a chociaż ślady łez nie znikły jeszcze z jej oczu, jasny jej blask dowodził, że odwaga i siła, znów do jej serca wróciły. Wzięła siostrę za rękę i pocałowała ją w czoło, a kiedy Amelja spojrzawszy na nią zapytała:

— Ty płakałaś droga siostrze.

Czuła się dumną z łez swoich, nie starała się ich ukrywać, i odpowiedziała spokojnym i poważnym głosem:

— Tak droga Ameljo!... tak, płakałam!...

IV.

Pozostawmy teraz panią de Thourval i barona de Valdow, a powróćmy do zamku Sevillois, gdzie zostawiliśmy hrabiego z panem de Beaulieu.

Nie odrzeczy będzie jeżeli zamieścimy tu niektóre szczegóły o zamku, i damy czytelnikom naszym wyobrażenie o jego rozkładzie zewnętrznym i wewnętrznym. Budowa swą przypominała w części owe zamki średniowieczne, które stawiano więcej dla obrony w razie napadu, jak dla wygody i przyjemności. Czas zniszczył już jedną część jego, i trzeba przyznać że rzadką względnością wybrał sobie część najbardziej smutną i ponurą, resztę zaś zachował w całości.

Hrabia de Thourval kupił tę posiadłość po zgonie margrabiego de P. który miał szczególne zamiłowanie do tej budowy, i ciągle tak znaczne sumy wkładał w jej odnowienie i upiększenie, że w końcu restauracja zamku pochłonęła znaczną część jego majątku. Wybudował nawet na nowo całe skrzydło zburzone ręką czasu, aby jak mówił, biedny jego zamek nie pozostał na zawsze kaleką. To co nazywał nowym skrzydłem, było rzeczywiście pięknym i obszernym gmachem, którego jeden koniec stykał się ze starym zamkiem, drugi zaś zakończony gankiem i kilku schodami, ukrywał się wśród rozłożystych drzew parku. Hrabia z całą swą rodziną mieszkał właśnie w nowej części zamku.

Na pierwszym piętrze był apartament hrabiego i pokoje gościnne. Dół zajmowała hrabina i Amelja, której mieszkanie łączyło się z mieszkaniem siostry. Pokój sypialny i salonik przeznaczony dla pauny de Senneville, znajdował się w samym końcu nowego skrzydła, tym sposobem Amelja, przywykła w klasztorze wstawać rano, i lubiąca oddychać świeżym powietrzem, nasycenem wonią kwiatów, miała oddzielne dla siebie wyjście i mogła zejść do ogrodu nie przechodząc przez pokoje siostry.

Tuż przy zamku znajdowały się dwa piękne miejsca spacerowe, to jest park wielki i mały. Wielki park ciągnął się szeroko i daleko na grzbiecie wzgórza panującego nad rozległą równiną, której brzegiem płynęła Sekwana. Mały park otaczał zamek i po obu jego bokach zamieniał się w niewielkie lecz gęste laski, umiejętnie poprzecinane ulicami. Obydwa te laski stanowiły *campo sacro* dla uciekającej przed pogonią zwierzyny, tam już nikt nie śmiał czychać na jej zgubę.

W kilka godzin po wyjeździe hrabiny do Paryża, kiedy hrabia siedział w salonie i spokojnie czytał dzienniki, wszedł p. de Beaulieu z twarzą w jakąś dziwną przybraną powagę, i w milczeniu usiadł przy kominku. Tak wyraz jego twarzy jak i to uroczyste milczenie, zdawały się mówić, że zamierza opowiadać jakieś bardzo dramatyczne zdarzenie, lub co najmniej wygłaszać długi szereg swych *sumiennych* spostrzeżeń, popartych uwagami moralnemi. Hrabia udał że tego nie dostrzega i czytał dalej gazetę.

Pan de Beaulieu odkaslnął, poprawił się na krześle, a potem bez żadnego wstępu zapytał hrabiego.

— Jak mogłeś zezwolić aby baron de Valdow towarzyszył dziś twój żonie?

Hrabia spojrział na niego zdziwiony.

— Dla czegoż jeśli łaska odpowiedzieć, miałem nie zezwalać na rzecz tak prostą i naturalną? Czyż nawet podzielać twoje dziwaczne wyobrażenia, mógłbym objawami śmiesznej zazdrości, odpłacać za grzeczność? Zastanów się tylko, a przyznasz sam, że w tym nie ma nic tak złego.

— Przeciwnie jest, i bardzo wiele.

— Brawo! zawołał hrabia, śmiejąc się głośno, przysła i na mnie kolęj! Prawdę mówiąc, kochany kuzynie, dziwiło mnie to bardzo, żeś dotąd jeszcze nie zastosował do pani de Thourval, swego systemu obserwacyjnego.

— Zastosowałem go właśnie, i dla tego to mówię, odpowiedział z największą powagą pan de Beaulieu.

— I z wysokości twego obserwatorium, dopatrywałeś się strasznych rzeczy?

— Strasznych, jeszcze nie, ale jak mówi najprawdziwsze, a szczególnie najgłębsze ze wszystkich przysłów, nieufność jest matką bezpieczeństwa. Młody, piękny, dowcipny, pełen rozmaitych przymiotów baron de Valdow, zdaje się bardzo wiele znajdować przyjemności w towarzystwie pani de Thourval.

— Kto więc w twoim wyobrażeniu chce uchodzić za człowieka rozsądnego i ostrożnego, to powinien przyjmować tylko u siebie ludzi posiwiałych, z twarzą pooraną zmarszczkami, nudnych, brzydkich a nawet wstrętnych i odpychających?

— Na tym świecie spotyka nas tyle niemiłych rzeczy, że nie byłoby to tak źle obmyślane.

— Byłby to system Cassandra, z komedji włoskiej.

— Pod tym względem jestem wielkim zwolennikiem komedji włoskiej, ale wróćmy do rzeczy. Fakta dokonane stwierdzają moje zdanie; jeśli tylko cheesz przytoczyć ci tysiące przykładów dowodzących, że zbyt uczynna ufność mężów przywiodła wiele młodych kobiet do upadku.

— O! wiem, wiem, przytoczenie podobnych faktów, jest twoją specjalnością, rzekł hrabia uśmiechając się iroicznie. Wierz mi jednak, kochany kuzynie, że nasze położenie byłoby bardzo przykre, gdy-

byśmy dla ocalenia naszego spokoju i honoru, musieli zamykać żony w dobrze obwarowanych fortecach, lub co najmniej zawiązywać im oczy. Można oszukiwać w każdej grze nawet bawiąc się w ślepa-babkę: ufność zaś i szacunek najtrudniej i najboleśniej podchodzić.

— Czyń co ci się podoba. Nie zapominaj jednak że jako dobry i przychylny kuzyn, uprzedziłem cię o niebezpieczeństwie. Sam nie wiem nie pewnego, w przeciwnym razie milczałbym z pewnością.

— Przynajmniej godzinę.

— Bądź co bądź, pewny jestem że się nie mylę; zawiązuje się jakaś intryga, nie wiem tylko czy dotyczy twój żony czy też panny de Senneville.

— Ameljo? zawołał hrabia. Biedne dziecko! zaledwie od pięciu miesięcy opuściła klasztor, a już obierasz ją za przedmiot do twych nielitościwych spostrzeżeń, i wspólnie z moją żoną otaczasz ją swą kuzynowską troskliwością.

— Śmieję się, śmieję, rzekł p. de Beaulieu, obrażony że tak mało przywiązywano wagi do jego uwag. Co do mnie, pewny jestem że panna Amelja i baron de Valdow, doskonale się rozumieją.

— Bezwątpienia, inaczej nie rozmawialiby z sobą. Doprawdy żałuję cię szczerze mój biedny kuzynie, jeśli tylko po to przybyłeś tu z Ameryki, aby zreformować zepsute obyczaje naszej stolicy. Zaklinam cię jednak, nie wtajemniczaj mnie do swych prac reformatorskich. Słuchaj, skoro chcesz koniecznie, nieogłędnie, niebacznie gadaniny tych kilkunastu próżniaków, co siedząc z tobą w klubie z cygarem w ustach, rozpowiadają rzeczy na zawsze zniesławiające kobietę to wierzaj mi, o czym zresztą mam nadzieję sam przekonaś się kiedyś, że oprócz znanego ci świata w którym przewodzi kilkunastu wartogłówów bez zastanowienia, bez zajęcia, bez wytkniętego celu życia, a nadewszystko bez najmniejszego rozsądku, jest jeszcze inny świat w którym pilnie strzegą cnót domowych i ściśle wykonywają swe obowiązki. Lecz ponieważ żyjący w nim nie szukają rozgłosu, krótko widzące tłumy ocenić tego nie umieją.

Przybycie pani de Thourval przerwało rozmowę.

W ciągu obiadu, Amelja z przedziwną naiwnością opowiadała p. de Thourval szczegóły ślubnych ceremonij, przeplatając swe opowiadanie prawdziwie dziewczęmi uwagami. Ucieszona szczęściem przyjaciółki, do zbytku może była ożywiona i wesoła. Silny rumieniec pokrywający jej lica, niezwykłym blaskiem rozpromieniał jej oczy.

Już od pewnego czasu Amelja czuła się słabą gorączka wracała zawsze o jednej godzinie, co mocno zaniepokoiło hrabinę. W tym dniu, może w skutek zmęczenia i wzruszeń, zaraz po obiedzie, dostała silniejszego jak zazwyczaj paroksyzmu.

Pani de Thourval nie potrzebowała już szukać wymówki, zagnajając ją do pozostania w domu.

— Nie będę mogła ci towarzyszyć, rzekła do męża, Amelja dziś więcej cierpiąca jak zazwyczaj muszę przy niej pozostać.

Jakkolwiek to postanowienie niemiłym było dla hrabiego, nie sprzeciwiał mu się wcale, gdyż jako człowiek rozumny pojmował jego przyczynę.

Wieczorem, o godzinie ósmej, odjechał wraz z p. de Beaulieu.

W pół godziny potem Amelja już się położyła, kanoniczka odeszła na pierwsze piętro do swego mieszkania, a pani de Thourval zamknęła się w pokoju stykającym się z pokojem siostry.

Skoro tylko pozostała sama, wszystkie doznane w tym dniu wrażenia, wszystkie usłyszane przestrogi silnie odbiły się w jej myśli.

Baron de Valdow miał przyjść za chwilę; wiedziała o tem, a nawet przyznać musimy oczekiwała jego przybycia. Bezwątpienia, poczucie obowiązku powinno ją było skłonić do odrzucenia prośby barona, była występna zezwalając na tę schadzke, lecz teraz przyjmowała ją nie jako skutek swego przeszłego postępowania, lecz jako pokutę za swą słabość. Czuła że potem co zaszło, winna była przynajmniej wyznać szczerze Eugeniuszowi pobudki swego postępowania. Pewna samej siebie, nie tylko bez drżenia, ale nawet niecierpliwie oczekiwała jego przybycia. Zdruzgęła znowu strony nie obawiała się zbyt rychłego powrotu męża, gdyż wiedziała jak długo zawsze wist go zatrzymuje.

Zaledwie dziewiąta wybiła, kiedy już od strony lasu posłyszano tentent konia. Domyśliła się że baron przybywa.

P. de Thourval uchyliła ostrożnie drzwi od pokoju

siostry; Amelja spała. Zamknęła drzwi i weszła do saloniku leżącego obok jej pokoju sypialnego.

Ponieważ hrabina pod różnemi pozorami, zawesa- su już oddaliła służących, baron przez nikogo nie dostrzeżony, przybył do drzwi saloniku. Zapukał lekko i wszedł. Hrabina siedziała przy oknie. Spo- strzegłszy barona zdrząła i serce jej zaczęło bić gwałtownie. Eugeniusz zbliżył się do niej, uchwycił jej rękę i przycisnął ją do ust swoich.

— O! dzięki ci pani, dzięki za tę pierwszą chwilę szczęścia! Zanim tu przybyłem miałem na ustach tysiące słów dziękczynnych, miałem w głowie tysiące myśli, które miały odmalować ci moje cierpienia od tej chwili w której cię pokochałem, odkąd szukam cię wszędzie; odkąd szukam szczęścia w każdym twym słowie, uśmiechu, spojrzeniu! Teraz z tych wszyst- kich słów pozostało mi tylko jedno: kocham cię!

Hrabina pochyliła głowę; znać było że cierpi wie- le. Milezała chwilę, jakby w nowem swem posta- nowieniu szukała potrzebnej siły i odwagi, potem wolno podniosła na Eugeniusza oczy, dotąd zwróco- ne ku ziemi. W tem spojrzeniu malował się głębo- ki smutek.

— Błagam pana, rzekła nakoniec zaledwie do- słyszany głosem, nie mów tak do mnie więcej. Jeżeli dziś zezwoliłam na twe przybycie, to jedynie aby ci powiedzieć co dotąd wycierpiałam, co może i nadal cierpieć będę, aby prosić cię o przebaczenie za moją słabość, za brak odwagi. Powinnością moją było zaraz od pierwszej chwili odepchnąć cię, oka- zując się zimną, surową; unikać wszelkiej sposo- bności spotkania... Ale... może przez dumę... że jestem kochaną, nie zrobiłam tego.

— O! nie mów tak pani! doprowadzasz mnie do rozpacz, zawołał Eugeniusz.

Hrabina dała mu znak ręką aby jej nie przerywał. — Powiedziałam już panu że będę szczerą, bo pragnę zachować twój szacunek, bo nie chcę abyś mnie uważał za jedną z tych kobiet lekkomyślnych, chei- wych holdów, które po to tylko przyciągają do sie- bie, aby miały potem kogo odepchnąć. Sądziłam przez chwilę, że potrafię znaleźć szczęście jakie mi Bóg przeznaczył. Ah! jakże się myliłam! Dziś ra- no, kiedy usłyszałam te słowa tak wymownie zachę- cające do spełnienia przyjętych na siebie obowiąz- ków, tak groźnie występujące przeciwko łamiącym wiarę, drżałam cała, a w głębi mej duszy odezwały się gorzkie wyrzuty sumienia... Jestem matką pa- nie baronie, a w mej pamięci na zawsze pozostaną te wyrazy: „Bóg skarże cię na twych dzieciach, odma- wiając im swego błogosławieństwa lub wydzierając ci je na zawsze!...”

Baron stał jakby piorunem rażony; tak mało spo- dziewał się usłyszeć podobne słowa, że nie wie- dział co odpowiedzieć, pojmował dobrze jak słabem byłoby wszystko coby mógł wyrzec, w porównaniu z tak głębokiem i silnem uczuciem. Prócz tego, jak powiedzieliśmy już wyżej, kochał szczerze panią de Thourval, a widząc ją bladą, z oczyma łzami zalane- mi, błagającą go prawie, zapominał o sobie i o wła- snem szczęściu.

— Pani, rzekł po chwili, nie chcę sprzeciwiać się twój woli: skazujesz mnie na wieczne cierpienie, na miłość bez nadziei... Od ciebie wszystko przyjmę bez szemrania, kosztem własnego szczęścia okupię twą spokojność. Bądź szczęśliwą, ja zaś za moje poświęcenie błagam cię o jedną tylko łaskę, nie unikaj spotkania się ze mną; widzieć cię to odtąd je- dyna radość w mem życiu.

— O! nie, nie! zawołała hrabina; dla twój własnej spokojności, dla mojej, błagam cię, oddal się ztąd, opuść Paryż, choćby tylko na jakiś czas, na jeden miesiąc...

— Ah! wymagasz odemnie ofiary przechodzącej moje siły, zawołał Eugeniusz.

— O! na pamięć twój matki!... na wszystko co ci jest drogiem! zaklinam pana.. oddal się!

Hrabina wymówiła te słowa błagalnym gło- sem, a cała jej postawa zdradzała głęboką, boleść.

Zadzwoniono do bramy. Pani de Thourval krzy- kła przerażona, a potem przybiegła do okna aby zobaczyć kto przybywa.

— Boże mój... Boże! rzekła zasłaniając twarz rękami, jestem zgubiona!.. to mój mąż z panem de Beaulieu.

— Uspokój się pani, zawołał baron; wynajdę jak- iś powód usprawiedliwiający moje przybycie.

— Ale jaki?... jaki?... wszak hrabia wie że cały dzień przepędziłyśmy razem, wieczorem miałam z nim

wyjechać w sąsiedztwo, potem odmówiłam... Ah! nie ma sposobu... jestem zgubiona!

Valdow wziął ją za rękę. — Zaklinam panią, uspokój się, sam twój prze- strach, samo twoje wzruszenie może cię zgubić bez- powrotnie, może jeszcze zdołam się oddalić.

Hrabina przechyliła się znów do okna, i zasunęła za sobą firanki.

— Nie... nie, rzekła odsuwając się, niepodobna!.. już są na dziedzińcu. Co teraz czynić? mój Boże!.. co czynić?

— Będę posłuszny wszystkim twym rozkazom, rzekł baron, czy nie ma innego wyjścia?

— Nie ma niestety!.. odpowiedziała pani de Thourval, a po tem zatrzymała się jakby jej błysła jakaś myśl nowa.

— Tak... tak... być może... wyszeptwała. Jest in- ne wyjście... mógłbyś pan wyjść niepostrzeżenie do lasku.

Myśl że może jeszcze być ocaloną rozpogodziła na chwilę jej rysy.

— Ale Amelja!.. rzekła sama do siebie, ażeby wyjść trzeba koniecznie przejść przez jej pokój. O! nie!.. nie!..

— Jeżeli pani chcesz abym mógł się oddalić; po- wiedział Valdow, spiesz się bo czas nagli.

— A jednak... rzekła cicho do siebie hrabina, jak- by w duszy jej gwałtowna staczała się walka, jed- nak... nie ma innego sposobu!.. inaczej będę zgubio- na!.. zgubiona!.. Wszakże nikt o tem się nie dowie..

Zwróciła się do Eugeniusza, mówiąc: zaczekaj tu chwilę.

Cicho otworzyła drzwi prowadząc do pokoju sio- stry, ostrożnie zbliżyła się do łóżka i nachyliwszy się nad niem słuchała oddechu siostry. Amelja spa- ła. Odwijała sznury przytrzymujące z boku firanki, i starannie osłoniła łóżko, potem otworzyła drzwi do saloniku Amelji, z którego jak wiadomo, można było wejść do parku i wróciła do barona.

Eugeniusz tym czasem, zbliżył się do okna i wy- glądał na dziedzińiec.

— Już ich tam nie ma, rzekł.

— Chodź pan, szepnęła hrabina, lecz staraj się przejść jak najciszej... aby nie obudzić śpiącej tam osoby.

Hrabina i baron powstrzymując oddech, przeszli pokój sypialny i salonik. Wśród cieniów nocy nie można było dostrzedz, i słyszeć było tylko szmer liści poruszanych wiatrem.

Już stojąc na progu, Eugeniusz zapytał.

— Czy się zobaczymy jeszcze kiedy?

— Nigdy! nigdy!

Po tych słowach drzwi się zamknęły.

Hrabina weszła do swego pokoju.

— O mój Boże! rzekła padając na krzesło, ty wiesz że nie jestem występna!..

Jeżeli czyniąc to źle postąpiłam, przebac mi, prze- bac Boże miłościwy!

Przez kilka chwil słuchała uważnie, a nie słysząc najłżejszego hałasu ani zewnątrz ani wewnątrz do- mu, uspokoiła się cokolwiek, myśląc że pan de Thour- val wszedł prosto do siebie.

Zobaczmy teraz czemu baron de Valdow nie spo- strzegł nikogo na dziedzińcu kiedy wyjrzał oknem, i dla czego hrabia nie wszedł do pokójów żony.

Wieczór był tak piękny, że hrabia i p. de Beaulieu zachęcani świeżością powietrza zawrócili do połowy dziedzińca, i zamierzili przez park i lasek dokoła obejść zamek. Zaledwie weszli w ulicę przecinającą, wzdłuż lasek, p. de Beaulieu idący na przód z cyga- rem w ustach, zatrzymał się nagle posłyszawszy ja- kiś szelst w pobliskich krzakach.

— Spłoszyliśmy jakiegoś jelenia, rzekł, i przer- waliśmy mu błogie chwile spoczynku.

To mówiąc wskazał miejsce z którego szmer do- chodził jeszcze.

— Nie przeczę żeśmy go obudzili, ale to pewna że nie jest spłoszony, gdyż jak widać nie myśli o ucieczce, odpowiedział hrabia.

Rudolf zbliżył się do krzaków i zaczął rękami od- garniać gałęzie.

— Do licha! zawołał po chwili, to koń a nie jelen.

— Który zapewne uciekł jednemu z naszych są- siadów, dodał hrabia.

— Uciekł, powiedział Beaulieu, uciekł całkiem osiodłany, doprawdy to coś dziwnego.

— Hrabia nie mówiąc zbliżył się do Rudolfa, aby przekonać się czy mówi prawdę.

— Jeżeli się nie mylę, mówił dalej p. de Beaulieu, to dobrze znam tego konia.

Schylił się, podniósł jedną z przednich nóg konia, kilka razy pociągnął mocniej cygaro, aby przy jego świetle łatwiej mu było dojrzeć i zawołał: Biała plam- ka na prawej nodze, byłem tego pewny, to koń ba- rona de Valdow, kupił go trzy miesiące temu. Śliczne zwierzę, które byłoby teraz moją własnością, gdybym się targował o nędzne 500 franków.

— Koń barona de Valdow, pomyślał hrabia: co to ma znaczyć?

Pomimo woli przyszła mu na myśl rozmowa. Nie był wcale zazdrośnym, gdyż podług niego zazdrość była śmiesznością i głupstwem, a jednak gwałtowne wzruszenie zatamowało mu oddech i w ciągu jednej minuty zadawał sobie w myśli tysiące zapytań.

Po co p. de Valdow, przepędziwszy znaczną część dnia z hrabiną w Paryżu, przyjechał jeszcze wieczo- rem do Seville? Skoro zaś chciał przyjechać, cze- mu obrał drogę przez lasek, i zamiast na dziedzińcu oddać konia służącemu, przywiązał go do drzewa w gęstwinie? Cemu żona nie uprzedziła go o tej wizycie, a co więcej nie chciała mu towarzyszyć?

Trudno zaprzeczyć, że hrabia słusznie zadawał so- bie te pytania na które nie mógł znaleźć żadnej za- dawalniającej odpowiedzi. Co do p. de Beaulieu, nie potrzebujemy nawet mówić, że to odkrycie zamieni- ło jego podejrzenie w niezbitą pewność. Zwrócił się do hrabiego i nie zważając jak dalece niewłaściwe będą jego słowa w podobnej chwili, rzekł uśmiecha- jąc się:

— Jestem szaleńcem, sam nie wiem co mówię; słucham z upodobaniem niedorzecznej gadaniny kil- ku próżniaków, zniesławiających...

— Cicho, rzekł hrabia przerywając mu i biorąc go za rękę, zdaje mi się że usłyszałem jakiś głos w tej stronie.

Mówiąc to pociągnął za sobą Rudolfa.

d. c. n.

Korespondencja ze Lwowa.

(Dokończenie.)

Wszechnica lwowska dotkliwą znowu poniosła stratę, która jest już druga z kolei w tym roku. Przed dwoma miesiącami umarł bowiem młody a znakomity docent śp. Stanisław Zborowski, a przed miesiącem usunął się zupełnie od zawodu profes- orskiego dr. Józefat Zielonacki, który wyjechał na sta- ły pobyt w Poznańskie. Dr. Józefat Zielonacki był przez długi czas profesorem prawa rzymskiego. Mło- dzież wszechnicy lwowskiej uważała całkiem słusznie dr. Antoniego Małeckiego i dr. Józefata Zielonackiego za najznakomitszych i najsympatyczniejszych profe- sorów swoich.

Dr. Zielonacki jest głębokim znawcą prawa rzym- skiego. Jego prace liczne odnoszące się do tego przedmiotu a pisane w języku niemieckim i polskim, znane są najzaszczytniej w świecie naukowym. Dwu- tomowe dzieło dr. Zielonackiego pt. *Pandekta* jest niezawodnie jedną z najcenniejszych prac w naszej li- teraturze prawniczej. W dziele tem niemało przy- czynił się dr. Zielonacki do ustalenia polskiej termi- nologii prawniczej, która dotąd jeszcze nie jest zu- pełnie udoskonaloną.

Wyjazd tedy pana Zielonackiego i stanowcze opu- szczenie katedry prawa rzymskiego, jest dla wszech- nicy lwowskiej ciężką klęską. Daj Boże, by się na tem tylko skończyło. Mówią bowiem, że i profesor Małeki, który jest teraz zastępcą kuratora Zakładu Ossolińskich, dla mnogich zajęć swoich zamierza też samo porzucić katedrę historii literatury pol- skiej.

Bolesna klęska dotknęła także i scenę naszą. Pan Julian Wilkoszewski, jeden z najlepszych artystów naszych a może nawet i najlepszy, zapadł w ciężką chorobę, która zniewala go do wyjazdu na kurację hydroterapeutyczną do Sassowa. Lekarze orzekli podobno, że dla sceny pan Julian Wilkoszewski jest już na zawsze stracony. Jak dotkliwą jest ta stra- ta pojąć chyba ten może, kto zna należycie niesły- chane ubóstwo sceny lwowskiej. Z wyjazdem pana Wilkoszewskiego dyrekcja musi wyrzucić z repertu- aru spory zastęp sztuk, w których artyści tego nikt zastąpić nie zdoła. Tak tedy równocześnie tracimy p. Wilkoszewskiego i pannę Romanę Popielównę, dwie największe siły artystyczne, bez których dyrekcja mo- że zawiesić przedstawienia na czas jakiś, gdyż wąt-

pić należy, by publiczność interesować się mogła sceną nie posiadającą literalnie ani jednego prawdziwie dobrego artysty. Dyrekcja wprawdzie postarała się o to, by personat numerycznie osłabiony nie został i w tym celu zaangażowała już pana Józefa Mikulskiego i pannę Emilię Deryng: ale pan Mikulski i panna Deryng okazali zaraz na pierwszym przedstawieniu, że wstępują dopiero w nowicjat zawodu artystycznego. Oboje posiadają talent ale kompletnie brak im wszelkiej wprawy i rutyny. Z czasem tedy dopiero, po nabyciu tych obu przymiotów, możnaby się spodziewać, że luka dzisiejsza w personalu teatralnym zostanie zapełniona.

W miarę większego zbliżania się pory prawdziwie zimowej coraz częstsze koncerty. We Lwowie bawi obecnie zdolny skrzypek (pan Władysław Górski podobno Warszawianin), który już kilka razy występował przed naszą publicznością i grą swoją zjednał sobie ogólną a szczerą sympatię. Nasze towarzystwo muzyczne toż samo stara się koncertami uprzyjemnić publiczności obecną tak nieznośną porę. Koncerty tego towarzystwa, zostającego pod kierownictwem pana Karola Mikulego, odznaczają się starannym programem i grą znakomicie wystudjowaną.

Pozwólcie mi tutaj wtargnąć samowolnie w terytorjum krakowskiego sprawozdawcy i zanotować kilka spraw krakowskich, które nie mają cechy lokalnej, lecz zarówno i Lwów w wysokim stopniu obchodzą.

Najpierw tedy donieść wam muszę, że krakowskie Towarzystwo naukowe na posiedzeniu z 15 października zajmowało się rozdaniem nagród z fundacji śp. Jerzego Romana Lubomirskiego. Fundacja ta ustanawia nagrody pieniężne, które Towarzystwo naukowe w Krakowie rozdaje co pięć lat autorom najlepszych dzieł wydanych w tym przeciągu czasu. W tym roku otrzymał pierwszą nagrodę wynoszącą 1500 złr. Kazimierz hr. Stadnicki ze Lwowa za dzieło swoje historyczne p. t. *S. Bracia Władysława Jagiełły*. Drugą nagrodę w kwocie 1000 złr. przyznano dr. Szokalskiemu z Warszawy za dzieło p. t. *Oftalmologia*. Ostatnią, wreszcie nagrodę otrzymał profesor wszechniwy Jagielloński dr. Maxymilian Nowicki za szereg prac badawczych w przedmiocie historii naturalnej. W akcie fundacyjnym przeznaczył śp. Jerzy Roman Lubomirski pewną część funduszu na promjowanie cenniejszych dzieł dramatycznych. Na ten cel złożyło towarzystwo naukowe 400 złr. (1600 złp.) w kasie oszczędności.

Mówiąc tu o premjowaniu dzieł dramatycznych wspomnieć muszę, że w ubiegłym miesiącu skończył się termin konkursu, rozpisanego na najlepsze dramata i komedje przez dyrektora sceny krakowskiej hr. Adama Skorupkę. Na fundusz tego konkursu wynoszący 600 złr. (2400 złp.) złożyli się hr. Franciszek Łubiński i hr. Jan Zamojski. Nagroda za najlepszy dramat lub komedję wynosi 450 złr. (1800 zł). Drugie z kolei dzieło dramatyczne otrzyma 150 złr. (600 złp.)

Konkursu podobne wypadają u nas zazwyczaj fatalnie. Gdy po wybiciu medalu dla Aleksandra hr. Fredry została znaczna kwota do dyspozycji, przeznaczono ją na nagrodę za najlepsze dzieło dramatyczne. Rozpisano zaraz konkurs i w krótkim czasie dużo autorów zgłosiło się ze swemi pracami. Komisja konkursowa zajęła się przeczytaniem nadesłanych prac, straciła dużo czasu i w końcu po znużeniu przeglądaniu rękopisów, pod naciskiem niecierpliwej i ciekawej na rezultat publiczności rzekła uroczystie, iż z nadesłanych dzieł dramatycznych żadne nie jest tak bezwzględnie dobrem, by zasłużyło na nagrodę. Chcąc jednakże uniknąć śmieszności komisja konkursowa przyznała nagrodę panu Edwardowi Lubowskiemu za jego dramat p. t. *Żyd i oświadczyła wyraźnie, że dramat ten otrzymał dla tego nagrodę, że jest najgorszym ze wszystkich dzieł nadesłanych*. Hr. Adam Skorupka ogłaszając konkurs starał się, o ile sobie przypominam, uniknąć podobnej ewentualności, gdyż przy ogłoszeniu konkursu wyraźnie oświadczył, iż nagrodę otrzyma dzieło najlepsze pomiędzy dobrymi. W każdym razie dobrze sobie postąpił pan Skorupka, lepiej jest bowiem nie dać nikomu nagrody i napisać drugi konkurs, niżeli dawać premium sztuce, którą komisja znawców uznaje tylko za najmniej złą ze wszystkich innych.

Konkurs rozpisany przez hr. Skorupkę, podobno nie bardzo zachęcił lwowskich autorów dramatycznych do wystąpienia ze swemi pracami. Nie potra-

filibyste nigdy odgadnąć przyczyny tej abstynencji. Powodem jest fakt, że lwowscy autorowie nie przypuszczają, by krakowska komisja zachęcała przyznać nagrodę Lwowianinowi chociażby nawet tego słuszność wymagała. Przypuszczenia tego podzielać niepodobna, nazwać je można nawet śmiesznym ale mimo to zaprzeczyć się nie da, że opiera się na prawdziwej poniekąd podstawie.

Pomiędzy Lwowem i Krakowem istnieje bowiem od dawna antagonizm uparty. Wprawdzie nie jest on wcale gwałtownym ale zo to bardzo systematycznym, bo objawia się nawet w sprawach drobnostkowego znaczenia. Antagonizm ten datuje się od chwili, w której Lwów został stolicą Galicji i Księstwa Krakowskiego i scentralizował w sobie wszystkie najwyższe krajowe władze i urzędy. Dawniej bowiem Kraków był jakby wice stolicą i miał własną filję namiestnictwa. Gdy ten dualizm pomiędzy Lwowem a Krakowem usunięty został na korzyść pierwszego, Kraków faktycznie stracony został ze swego dawnego stanowiska i postawiony na równi z najlichszą miejsciną powiatową. Na tej zmianie zyskał Lwów ogromnie, stał się bowiem centralnem ogniskiem wszystkich władz i urzędów i siedziskiem organów krajowych. Ludność jego wyrosła znacznie, przestrzeń miasta zaczęła się rozszerzać. Kraków miał z tego powodu niesłuszny żal do Lwowa, który przez swą zbytnią arogancję w obec pokonanego współzawodnika, nie przyczyniał się do uśmierzania lecz owszem do spotęgowania tego antagonizmu.

Antagonizm stawał się coraz powszechniejszym i powoli wcisnął się pomiędzy wszystkie warstwy ludności. Dziennikarstwo zamiast uśmierzać tę wzajemną niechęć obu miast, wpływało owszem w kierunku wprost przeciwnym.

Przyszło zatem dziś do tego, że Kraków patrzy z politowaniem i lekceważeniem na Lwów, a ten znowu zawsze odpłaca się dozą wzajemnej niechęci. Krakowianin każdy z potrzeby tylko i z pewną nawet obawą jedzie do Lwowa, a Lwowianin przybywszy do Krakowa, obawiając się urojonych przykrości jak najszybciej załatwia interesy i prędko umyka do swego grodu. Krakowianin nazywa Lwów miastem nieznosnym i brzydkim. Rozległość jego nazywa rozlazłą, jego ruch wielki hałasem targowiska, ulice korytarzami a nowe i białe kamienice wielkimi koszarami. Najboleśniej zaś dotyka każdego rodowitego Lwowianina a mianowicie sławetnych rajców naszego miasta zarzut Krakowian, że Lwów nie ma żadnych pamiątek historycznych, że jest parweniusem w obec Krakowa i że ratusz lwowski, na który każdy Lwowianin z dumą spogląda, jest ogromną szatną a jego wyniosła wieża kolosalnym kominem. Lwowianin odpłaca się pięknem za nadobne. Kraków jest dla niego szarym grobowcem, ponurym zabytkiem przeszłości, który należałoby schować pod wielką banie szklaną. Dla Sukieniec Lwowianin mało okazuje respektu, kościołowi marjackiemu niechętnie oddaje pierwszeństwo przed katedrą lwowską, plantacje nie imponują mu wcale w porównanie z lwowskim wysokim zamkiem a kawiarnie i cukiernie krakowskie nazywa pogardliwie knajpami i z dumą wspomina przytem o swoim. Żmudzińskim i Roslenderze. Kraków w porównaniu ze Lwowem jest zdaniem Lwowianina małą miejsciną. Solą w oku jest dla niego Krakowska Wisła, której przecież nie odważy się nawet porównywać z Pełnią lwowską. Pociesza go tylko ta myśl, iż zdaniem turystów Lwów jest miastem w Europie godnem zwiedzenia właśnie dlatego, że nie jest położony nad rzeką.

Nie sądzicie, by antagonizm ten wyrodzić się mógł z czasem w otwartą nienawiść. Jestto tylko drażliwa trochę, ale przytem zawsze dobronadusza rivalizacja dwóch większych miast naszych, które dla całkiem odrębnych cech swoich istnieć mogą obok siebie bez wszelkiego współzawodnictwa. To przekonanie już obecnie wszędzie przeważać zaczyna.

B. Ł.

NOWY ZWROT

W PRACACH HISTORYCZNYCH

Buckle i Szczapów.

Geologia, statystyka, nauki przyrodzone, które w ostatnich czasach tyle zgromadziły zdobyczy i filozofii nadały nowy wzrost wydobywając ją ze szranek czystej abstrakcji, nie mogły pozostać bez wpływu

i na sposób badań historycznych, które dotąd zajęte śledzeniem samych faktów zaczynają się dźwigać do wykrycia praw niemi rządzących. Są to dotąd wprawdzie tylko próbki, rzuty śmiało więcej przeczuć niż wyrozumowane, zawsze jednak godne wielkiej uwagi myślących, choćby tylko na dowód jak rozum ludzki, chętny jest w wynajdywaniu dla siebie trudności, jak skrzętnie szuka nowych dróg do wykrycia wielkiej tajemnicy, pochłaniającej całą jego ciekawość.

Z pomiędzy pracowników badaniom historycznym nadającym nowy kierunek, Buckle swoją Historją cywilizacji w Anglii niezmiernie między czytającą publicznością zrobił wrażenie. W ślad za nim poszedł pan Atanazy Szczapów historyk rosyjski, który w dziele swoim p. t. Społeczno-pedagogiczne warunki umysłowego rozwoju rosyjskiego narodu, starał się historii Rosji nadać pogląd filozoficzny. Podjęcie to zasady Buckle'a przez tego uczonego tym więcej zasługuje na uwagę, że dotąd historycy rosyjscy wychodzili albo jedynie ze stanowiska teoretycznego, czyniąc fakta zawisłe od interesu i całości państwowej, albo opowiadali je bez żadnej myśli przewodniej. Pan Szczapów inną poszedł drogą; wypadki, czyny starał się powiązać jako następstwa przyczyn na nie działających, a porzucając prosta tylko gromadzenie faktów oddał je głębszym krytycznym poglądem.

Buckle był mu tu głównym przewodnikiem, wprawdzie w niektórych razach odstępował od jego idei, robił to jednak przez wzgląd jedynie na warunki historyczne życia narodu.

Buckle w swojej historii cywilizacji stawia przede wszystkim pytanie: czy czynnościami człowieka a zatem i całych społeczeństw rządzą stałe prawa z pod których wyłamanie się jest niepodobne, czyli też wnioski te są zupełnie dowolne i ulegają tylko wpływom nadnaturalnym.

Pytanie to nie od dziś dopiero zaprzęta umysły ludzkie: idzie w niem o rozstrzygnięcie, czy wola ludzka jest wolną czy też wolność jej tylko pozorna. Wszelkie dowodzenia dotychczasowe, kwestji tej nie rozstrzygnęły stanowczo, przeważnie jednak skłaniają się do drogi pośredniej, to jest że człowiek wolną wolę posiada jedynie w czynnościach osobistych, gdzie zaś idzie o rozwój całej społeczności, tam wolna wola niknie i człowiek musi działać choć nie chce w kierunku przez Opatrzność oznaczonym. Jaśniej rzecz tę tłumacząc, wyznawcy tej teorii ludzkość całą przyrównują do okręgu koła kredą nakreślonego. Gdyby pyleczki stanowiące ślad kredy były żyjącymi istotami, toby w owym pasie kredowym mogły się poruszać według swojej woli, ale za granicę jego nie mogłyby wykroczyć i pochód swój musiałyby według kierunku okręgu prowadzić.

Teorii tej nie można odmówić trafności; widząc w świecie tak wielką rozpostartą mądrość Bożą, nie podobna nie przyznać że i cel całego stworzenia również jest wielki i mądry i że do tego celu ludzkość musi podążać zarówno w masie swój jak w jednostkach. Czy zaś ta jednostka porusza się tak czy owak, czy w ten a nie w inny sposób porządkuje swoje myśli i wyobrażenia, to zupełnie rzeczą jest obojętną. Nawa którą plynie dowiezie ją do oznaczonego z góry celu, albo nędzarzem duszy albo duchem jasnym.

Buckle co do rozwoju historycznego ludzkości przyjmuje tę zasadę, popierając dowodzeniem, że każda czynność ma swoją przyczynę, która znowu jest następstwem innych przyczyn, jakie poznane aż do pierwszej chwili ich powstania mogłyby dać dokładny obraz rozwoju wypadków, jak przyczyna tworzyła czyn, a czyn ten stając się znowu przyczyną nowym faktom dawał życie. Teorję tę zamykając, przepaść czasu jak ptaszynę w klatkę aby się jej dokładnie przypatrzyć, podziela także i pan Szczapów, chociaż musi w wielu razach odstępować od niej, przez wzgląd na mniej wybitne objawy życia masy społecznej, którą opisuje więcej zależne od jednostek jej przewodniczących.

Buckle określając wreszcie historję daje jej nowy pogląd, powiadając, że historia jest oddziaływaniem człowieka na przyrodę i nawzajem przyrody na człowieka.

Dotychczasowi historycy wszystkich narodowości a z niemi i rosyjscy, zajmowali się wytworzeniem obrazu życia ludzkości w różnych momentach jej rozwoju, po których jak po szczeblach pięta się ku postępowi. Badanie początku wzrostu i charakteru rozmaitych cywilizacji, było jedynym ich zada-

niem, niepodobna więc przypuszczać aby określenie historii przez Buckle'a zostało przez nich bezwarunkowo przyjęte. Z pomiędzy pisarzy rosyjskich pierwszy pan Szczapów definicję tę podniósł i postawił na pierwszym miejscu, wpływ przyrody na wytworzenie charakteru narodowego. Buckle jednak określenia tego w dziele swoim nie przeprowadził, i uznawszy Europę jako już panującą duchem nad przyrodą, zajął się głównie społecznościami pozaeuropejskimi, rozwijającymi się jeszcze pod jej wyłącznym wpływem. Przemawia to wprawdzie wiele na niekorzyść ogłoszonej przez Buckle'a teorii, ale jeżeli zastanowimy się nad nowością pomysłu, którego gdyby chciał trafność okazać na dziejach Anglii lub Francji, musiałby się głównie oprzeć na czasach niezmiernie odległej starożytności, do czego nie ma jeszcze odpowiednich materiałów nagromadzonych, zarzut w części przynajmniej upada. Społeczności pozaeuropejskie jeszcze żyją w całej pełni zależności od przyrody; jeszcze duch ich niemowlęcy nie wznosił się ponad jej siły, korny, posłuszny im, nosi wyraźniejsze cechy jej wpływu, i dlatego łatwiej wykazać może trafność zrobionego założenia. Duch Europy już dorósł do sił trzymających go górą nad materją, a przyroda zaklęta mocą myśli ludzkiej, straciła wiele ze swego dawniejszego wpływu.

(d. c. n.)

Przegląd teatralny.

Posażna Jedynaczka Komedja w jednym akcie oryginalnie napisana przez Jana Aleksandra hr. Fredre przedstawiona pierwszy raz d. 10 Listopada b. r.

Posażna Jedynaczka ponętny to niezmiernie tytuł nie tylko na scenie teatralnej, ale na wielkiej arenie zowiącej się światem. Zabiegi, starania do uchwycenia tak bogatą zdobycz, mogą przedstawić nie jedną ciekawą kombinację, która szeptem przechodząc w kółkach towarzyskich, do śmiechu, podziwu, a nawet grozy zwykle wiele dostarcza materiału. Dla komedjopisarza pole tu obszerne do popisu, i widzą zajęty tytułem zawczasu przygotowywa się, do urzeczania harców posagowych dżokejów, dla których wyznaniem wiary jest owa znana piosenka ludowa.

Chłopey rozmawiali,
Jam ich wysłuchała,
Żeniłbym się z kozą,
By pieniądze miała.

Autor jednak inną poszedł drogą i rozpuściwszy wodze dobremu humorowi, nawet w tytule swego komedycznego utworu, figlem obdarzył przyszłych spodziewanych widzów. Przedstawia bowiem nie posażną jedynaczkę ale ojca zakłopotanego tajemniem, że takich jedynaczek ma pięć, z których dwie jako jedynaczki wydał już za mąż, trzecią wydaje w podobnym charakterze, dla czwartej w tajemnicy przygotowuje męża, a piątą trzyma w sekrecie na pensji. Fortelu tego używa dla zapewnienia córkom łatwiejszego zamążpójścia i od najmłodszego wieku wychowuje je u krewnych w oddalonych częściach kraju, każdą zdobiąc wabnym tytułem jedynaczki. Wabikiem tu ma być niepodzielna fortuna ojca Szumbalińskiego, wynosząca bardzo ponętną wartość na sześćkroć oszacowaną. Dwaj też zięciowie ostrzą oddawna zęby na tak smaczny kasek, a pragnąc zaskarbić sobie łaskę teścia w dzień jego imienia przyjeżdżają niespodzianie. Katastrofa ta oddawna przewidywana, zastaje Szumbalińskiego w chwili, kiedy do córki Pauliny jawnie utrzymywanej w domu jako jedynaczki, zaleca się August Darzyński. Przyjając jego oświadczenie, związać go nierozzerwalnem przyrzeczeniem, zanim przybycie dwóch zięciów z żonami wyjaśni zmniejszenie summy posagowej mającej się wydać córki, staje się głównem staraniem Szumbalińskiego i powodem ogromnego zakłopotania. Ale kłopotom tym nie koniec jeszcze.

Czwarta córka Kamilla powodowana tą samą chęcią powinszowania ojcu imienia, równie niespodziewanie zjeżdża do jego domu. Szumbaliński więc na kilka dni przed katastrofą, osadza ją na folwarczku Lesniczówka, zakazuje pokazywanie się we dworze

nie wyjaśniając jednak powodów, które go do tego zmuszają... Tam poznaje ją młody Henryk Marecki, bawiący czasowo u Szumbalińskiego i nie wiedząc co za jedna, zajmuje się nią wcale nie na żarty. Szumbaliński domyśla się tego, więc i czwartego zięcia pragnąc ulowić używa nowych przebiegów, aby wydana tajemnica nie pokrzyżowała ułożonych planów.

Przyjazdem zięciów, przełamaniem zakazu przez Kamillę która konno przybywa z Lesniczówki w celu powinszowania ojcu, biedny Szumbaliński jak lis w kniei osaczony zostaje ze wszystkich stron, i kręcąc się, wywijając, macąc się w odpowiedziach, tu kryjąc się, uciekając, tam pokazując, stanowi główny przebieg całej akcji i tworzy mnóstwo scen komicznych, z talentem niepospolitym i wielką zręcznością przeprowadzonych. Naturalnie rzecz pomału wydaje się zięciowie z każdym poznaniem nowej siostry swojej żony, nowy robią podział spodziewanego wziętku posagowego, a gdy wreszcie i piątą Józia przybywa z pensji wykradziona przez oficera od huzarów, pan Gomółko zięć Szumbalińskiego wiadomość tę przyjmuje z oburzeniem, drugi zaś zięć Ratatyński machnąwszy ręką wyborną i bardzo charakterystyczną daje odpowiedź:

— Jedna mniej jedna więcej pal tam licha! aby tylko panie teściu na tem był koniec.

Tym razem liczba sukcesorów na tem się kończy, ale Szumbaliński mając dwie córki już wydane a dla trzech pewnych narzeczonych, nie potrzebując dalej występować w kłamaniej roli, wyznaje wszystkim z wielką nieśmiałością, że od ośmiu miesięcy już się..... ożenił powtórnie, co trzymał w tajemnicy nie chcąc dzieciom daniem macochy zaszkodzić. Chociaż rzecz cała oparta na nieprawdopodobieństwie i skłania się więc ku obrazowaniu anegdoty jak jakiejś wady społecznej, jest w niej jednak i satyra nader misternie wpleciona, co utwór ten pana Fredry mianem komedji najzupełniej usprawiedliwia. Na nieszczerście bowiem mąż i posag to dwa zaklęte słowa, zmuszające niejednego do kuglarstwa i mistyfikacji o jakich przedtem nie miał pojęcia. Wada ta społeczna szukania w małżeństwie garnuszka i dachu a nie uwiecznienia szczęściem gmachu przyszłości przez siebie wzniesionego, ze wszech miar godna czujnej baczności. Wyśmiewana, wytykana, jak rak albo polip odrasta na nowo, i toczy, denerwuje z pokolenia przechodząc na pokolenie.

Chęć wyszydzenia jej, utwór pana Fredry na wskroś przejmując, do czego autor użył nie konwencjonalnych jakichś postaci ale wyrosłych na własnej niwie, ze wszystkimi usterkami i przymiottami, nadającymi im wybitną indywidualność. Gomółko p. Grzywiński zięć Szumbalińskiego z przeciągłym litewskim akcentem, śmiesznym jest ale i pocziwmy zarazem: — drugi zięć Ratatyński p. Ostrowski szlachcic w gorącej wodzie kąpany, łatwy do zwady a może i do korda otwartością swoją jednak ujmuje. Dwaj tylko młodzi aspiranci dwóch drugich córek zbyt pośpiesznie nakreśleni nie mają dość jasnej charakterystyki. Darzyński kocha i żeni się z obojętnością automata, choć widzi że narzeczona przestaje być posażną jedynaczką. Artysta pan Dąbrowski przedstawiający go, nie temu nie winien i zarzut pod tym względem jedynie dotyka autora. Drugi aspirant Marecki troszkę na fufanta zakrawa, ale także kocha i żeni, zdając się nie myśleć o umniejszeniu cyfry posagowej. Pan Kwieciński przedstawił go z życiem ale zbyt był lotnym jakby chodził po scenie nie przy nóg pomocy ale skrzydeł. Obie te postaci z wybitniejszym charakterem zawodu, mogłyby i cel sztuki i komikę jej znacznie jeszcze podnieść.

Sam za to Szumbaliński jest postacią zupełnie skończoną. Pan Żółkowski tak był przejęty jego drażliwym położeniem, kłopot, zaambarasowanie tak utrzymywał w ciągłym naprężeniu, że każde jego pojawienie się na scenie zarówno talent autora jak i artysty ujawniało. Pan Grzywiński i Ostrowski wybornie role swoje oddali: bez żadnego także są zarzutu panie: Przedpeńska, Figarska, Ostrowska, Borkowska i panna Żółkowska. Pan Chomiński w roli Macieja starego sługi, którego typ już do przeszłości podobno w zupełności należy, w gderalstwie, w łajaniu Szumbalińskiego za podstęp jakiego używa, w ucharakteryzowaniu wreszcie całej swjej postaci dał nowy dowód niepospolitego swego talen-

tu, ale zdaje się nam że seplenieniem niczem nie usprawiedliwionem i zbytnią fizyczną niedołężnością, szanowną tę postać cokolwiek osłabił. Maciej gdera ale poważny, wolno chodzący i powolny w mowie byłby tu właściwszym.

Wiadomości literackie, artystyczne, naukowe i. t. p.

— O minerałach nad rzeką Zarawszanem inżynier górniczy p. Myszenkow donosi co następuje. Na całej przebiegłej przez nas rozległości napotykalismy złoto, alun i siarkę; nad rzeką Zarawszanem znajduje się złoto w kształcie drobnych ziarn i cienkich płateczków, co jest bardzo naturalnem, gdyż góry po bokach doliny tej rzeki nie zawierają właściwych pokładów złota, zatem kruszec ten przynoszą ze sobą wody Zarawszana, albo raczej wymywiają z brzegów tej rzeki. Dlatego też ilość osadu złota zależy od wysokości wody Zarawszana, w ogólności zaś ilość ta bardzo jest nieznaczna, naprzykład czterech ludzi, przy pomyślnych okolicznościach, przemycia dziennie złota najwięcej za 60 kop. Przemycaniem złota trudni się wyłącznie biedna klasa ludności, bez wszelkiej opłaty. Dobywanie alunu jest w niektórych wsiach najkorzystniejszym po rolnictwie zatrudnieniem; każdy pragnący tem się zajmować otrzymuje od beka pozwolenie, za opłatą co miesiąc od 5 do 20 kop., a dochód ten, jak słychać, wynosi czasem do dwóch tysięcy kokanów rocznie. Czterech lub pięciu ludzi, w ciągu trzech miesięcy zimowych dobywa około 50 pudów alunu, który sprzedają na miejscu po 16 do 20 kokanów od puda lub wywożą, na rynki pendżakenki i samarkandzki. Podług innych bek pobiera od każdej wsi około jednego puda dobytego alunu. Eksploatację siarki koło twierdzy Sorwada, na górze Kan-Tag, bekowie fińscy zachowują sobie. Dla zbierania siarki wydzielającą się w szczelinach i osiadającą na kamieniach, bek używa mieszkańców sąsiednich wsi trzy razy do roku. Do minerałów, jakie mogłyby być eksploatowane, należy zaliczyć wielkie pokłady rud żelaznej i węgla kamiennego, leżące o wiorst 6 od twierdzy Sorwada, nad rzeką Jaguau. Lecz z powodu odległości, małej ludności, złych komunikacji i wątpliwego odbytu, nie ma przedsiębiorców do zabudowania huty żelaznej.

— Przedstawiciele Towarzystwa dróg żelaznych rosyjskich, postanowili założyć w Moskwie Szkołę dróg żelaznych pod nazwą „Delwiga“, dla uczczenia pamięci i wykazania wdzięczności dla senatora, generała-lejtnanta barona Delwiga. Zebrano na ten cel kapitał 125,000 rubli, z którego procentów ma być utrzymywana szkoła.

— Staraniem Kijowskiego Towarzystwa badaczyw przyrody, otwarte zostały przy tamtejszym Uniwersytecie św Włodzimierza kursa publiczne dla mężczyzn i dla kobiet. Liczba uczęszczających dochodzi do 200. Pierwszą prelekcję z działy anatomji miał profesor Betz.

— Jenerał - Gubernator kraju Turkiestańskiego przedstawił do zatwierdzenia projekt Ustawy Towarzystwa Naukowego, urządzonego w Taszkencie w celu pomagania w zbieraniu wiadomości i szczegółów topograficznych i geologicznych, tak o kraju powyższym, jak również i o zupełnie nieznanym dotąd jeszcze okolicach leżących na wyniosłościach Zarawszkańskich.

KORRESPONDENCJA.

Pani Z. Pro: R., 6 na kościół w Sulisławicach odebraliśmy.

Pani Wró: Sztuczka plecionki koronkowej kosztuje kop 75 — jest w niej łokci 15.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawy, adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza Ulica Zabia Nr. 956 dom dawniej Krzemińskiego.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Redaktor J. K. Gregorowicz.

**Dalszy ciąg objaśnień dodatku
arkuszowego dołączonego do
N. 46 Tygod. Mód.**

N. 6. Męzki krawat.

Kokarda krawata wymaga dwóch 12 cent. długich a 14 cent. szerokich ukosów, grubego jedwabnego rypsu, ściętego spiczasto i obstemnowanego. Ukośnie ścięte strony każdego końca, fastrzygują się z sobą, a podłożysz 4 cent. długą, sztywną podkładkę, zazwyczaj w fałdę. Prosty pasek, 3 cent. szeroki na kartonie spaja jako przepaskę, oba końce kokardy krawata.

**N. 7 i 41. Pikowana kapotka
dla dziewczynki.**

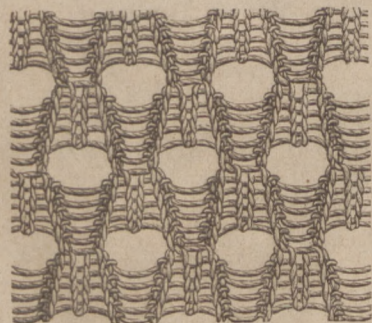
Troszkę podwatowane, pikowane w kwadraty denko kaszmirowej białej lub jedwabnej kapotki, potrzebuje zaokrąglonego kawalka w tyle przez 10 cent. prosto skrajanego, 15 i pół cent. wysokiego w środku, a 18 cent. szerokiego.

Rondko uformowane z prostego kawala 8 cent. wysokie a 33 centy. długie dla zmarszczenia którego, przydaje się 15 cent. materiału, naciąga się drucikiem i przyszywa w koło do sztywno podłożonego i z faldowanego denka. Udołu daje się podwatowany 8 cent. wysoko pikowany w kwadraty karczerek 42 cent. długi a 10 i pół cent. wysoki, wycinany w zęby, materiały podbitki i zakończony frendzelką. Brzeg kapotki oszywa się zewnątrz i wewnątrz riuszką z białej atlasowej wstążki 2 cent. szerokiej; pod spodem daje się lekka materia, przytwierdzona riuszą z tiulu i wąskiej wstążeczki. Z tejsze wstążki dają się trzy rozety, na 4 cent. dużym sztywnym kółeczku zrobione. Prócz tego widzimy jeszcze dwie kokardy ze wstążki 4 cent. szerokiej dane z wierzchu i końce do wiązania.

N. 8. Strojne ubranie do teatru.

Krój na dodatku N. I Fig. 1—4a.

Do teatru i na koncerty, używają się więcej suknie bez trenu, mało ubierane u dołu a za to bardzo garnirowane na tunice i staniku. Garniunek ten szczególnie przypadający do szczupłych figur, składa się z plisowanego muslinu na który



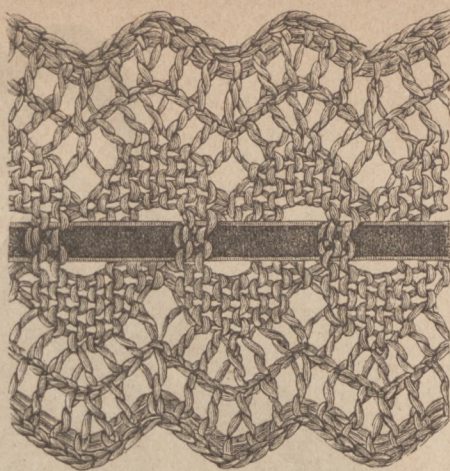
N. 7. Próbką tła do ryc. 4.

spada czarna koronka; takim ubranie łatwo odnowić suknie cokolwiek podniszczone. Co zbywa z odcięcia trenu i szerokości spódnicy, użyć można na puf lub tunikę.

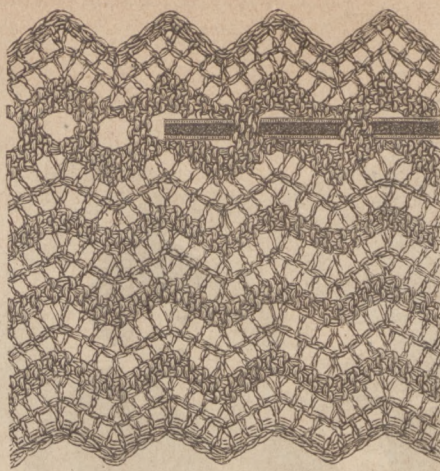
N. 9. Stanik pod szyję z chusteczkowym garniunkiem.

Krój na dodatku N. I Fig. 1—4.

Model przedstawia jednokolorową suknię z welnianego atlasu koloru slipek, zapiętą na czarne rypsowe guziki, ze spódnicą bez garnirowania ale z trenem. Stanik u-



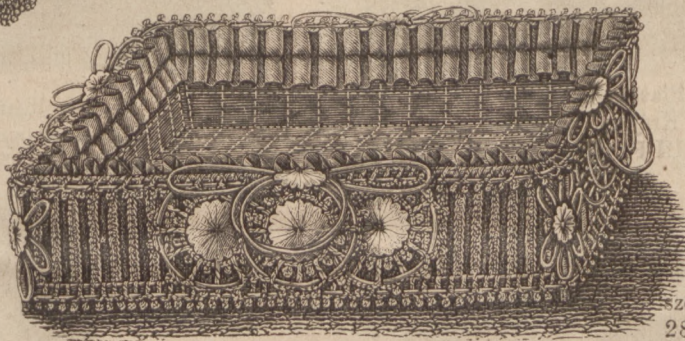
N. 1. Szlak na drutach przewleczony aksamitką na pelerynki, kapturki i t. d.



N. 2. Szlak na drutach przewleczony aksamitką na kapturki i t. d.



N. 3. Szarf w pasy.



N. 6. Koszyk do roboty.



Herb Królewsko-Pruski.

N. 9. Haftowany medaljon na teki, pudełka i t. d.

biała grenadinowa czarna chusteczka w faldy układana, nadmarszczoną, 5 do 7 cent. szeroką koronką naszyta. Fig. 4 podaje formę rękawa w naturalnej wielkości; Fig. 4a przedstawia rękaw powyższy ubrany faldowaną grenadiną i czarną koronką. Z przodu i na rękawach dane są kokardy; i pasek z materiału sukni, sata szarfa z faldowaniem i koronką, dopełniają garnirunku.

**N. 10. Negliżyk muslinowy
siatkową formą.**

Pasek muslinowy, w żąb dany nad czołem 48 cent. długi, obejmuje brzeg denka trochę nadmarszczonego, ściągniętego na gumkę w tyle 41 cent. długiego, a 30 cent. szerokiego. Denko to ubiera wstawka z irlandzkiej koronki 2 i pół cent. szeroka, kolorowo podwleczona i frywolitykowym brzeżkiem oszyta. Drucik 18 cent. długi podszyty pod paskiem z przodu, nadaje czepeczkowi odpowiednią formę. Brzeg czepek oszywa się 3 cent. szeroką muslinową riuszą z frywolitykowym brzeżkiem; dla utworzenia diadem podtrzymanego drucikiem, dodaje się rząd muslinowej riuszki, której przyszycie pokrywa 8 pukielków z 5 cent. szerokiej wstążki e czki na musli nowym pasku, przytwierdzone kokardą na końcu. Barbki muslinowe od diadem spada dają ce, 70 c. długie, a 9 szerokie o z da białą wstawką i frywolitykowym brzeżkiem.



N. 5. Peleryna z kapturkiem (plecy). Krój w dodatku N. XIII Fig. 43 i 44.

N. 11. Negliżyk tiulowy

Czepeczek ten formą siatki, 36 c. długi, 30 c. szeroki ściągnięty na gumę w tyle, obejmuje się z przodu 28 cent. długim paskiem, w środku 6 cent. szerokim, w koło dla sformowania diadem drucikiem oszitym. Wstawki 3 i pół cent. szerokie i kolorowa atlasowa kokarda ozdabia dno czepeczka. Koronka 5 cent. szeroka otacza brzeg z przodu podług opisu N. 10. Pukle kolorowe i kokarda z końcami z 6 cent. szerokiej atlasowej kolorowej wstążki, ozdabiają diadem od którego spadają barby 56 cent. długie z kolorowej wstążki, oszytej koronką.

N. 12—19. Ekran przed kominek.

Rycina przedstawia desę aplikowany z kolorowych kwiatów. Żeby ochronić od kurzu piękny ten ekran,



N. 8. Szlak siatkowy do ryc. 5.

przywiązuje się muslinowy pokrowiec, plisowaniem oszyty, jak to N. 19 przedstawia.

N. 20. Teki do nut.

Teki ta z grubego kartonu, 30 i pół cent. długa a 58 cent. szeroka, okleja się ciemno-brązowym rypsem; 5 1/2 cent. szeroki pasek materiału stanowi grzbiet teki, na każdej połowie, w odstępach 2 cent. od brzegu, daje się szlak z brązowej aksamitki, złotym sznurkiem otoczony, mający po obu stronach brązową, czarnym ścięciem wyszytą plecionkę, zakończoną brązowym dzierganiem. Po za tym



N. 10—11. Paltot z wąskim rękawem dla dziewczynki od 7 do 12 lat. Krój na dodatku N. XII Fig. 38—40 i 42a.

N. 12. Płaszcz z pelerynką. Krój na dodatku N. VIII F. 28—29.

N. 13. Ubranie chłopca od 9 — 11 lat. Krój N. VII, Fig. 25—27.



N. 14. Kostium strojniejszy z garnirowanym stanikiem. Krój na dodatku N. VI F. 22—24.

N. 15. Kostium z kaftanikiem i tuniką. Krój zob. ryc. 29—30.



N. 22—23. Płaszcz z pelerynką. Zobacz ryc. 7—9 w Tyg. Mod N. 48. Krój peleryny na dodatku N. IX Fig. 30.



N. 24—25. Suknia ze stanikiem i karoczką. Krój stanika na dodatku N. V. Fig. 19—21.

N. 26. Weinany kaftanik. Zob. ryc. 29 w T. M. N. 48. Krój kaftana na dodat. N. IV. Fig. 14—18.



N. 16—17. Kostium z paltotem do figury. Krój paletota na dodatku N. XIV. Fig. 45—49



N. 18. Paletot z szerokim rękawem dla dziewczynki od 7 do 12 lat. Zob. ryc. 35. Krój na dodatku N. XII. Fig. 38—40.

N. 19. Paletot dla chłopca od 6—10 lat. Krój na dodatku N. XV Fig. 50—53.

N. 20—21. Ubranie dla 2 do 5 lat dzieci. Krój staniczka N. XVI Fig. 54—55.



N. 27. Ubranie chłopczyka.

N. 28. Weinany paletot. Krój na dodatku N. X. Fig. 31—34.

N. 29. Kostium z tuniką i krótkim kaftanem. Zobacz ryc. 28 w Tygodniku Mód N. 48. Krój paletota N. XI. Fig. 35—37.



N. 30. Krótki paletot z bokami. Krój na dodatku N. II. Fig. 5—9a. Zobacz ryc. 34.

N. 31. Długi wolny paletot. Krój na dodatku N. I. Fig. 1—4a. Zobacz ryc. 41.

szlakiem 3 i pół cent. szerokim, daje się sznurek brązowy w karbowany, naszyty dwa razy w zęby jak wskazuje rycina. Cztery gwiazdki po 3 cent. duże odrabiają się brązowym atłasem i okalają złotą nitką. Na jednej połowie daje się wyraz „Muzyka“ na drugiej cyfry, które

N. 32. Rękaw do kostiumu welnianego (zobacz ryc. 14).

łatwo dobrać na deseniach do haftu. Literę te grubo podłożone, po odrobieniu konturów, otaczają się z jednej strony złotem i wyszywają brązowym jedwabem.

N. 21. Haftowany garnirunek na krawatki, bluzki, czepeczki neglected i t. d.

Rycina podaje desień tak zwaną imitację „Bruges“, zastosowaną jako wstaw-

N. 34. Spód rękawa do ryc. 30.

ka do drobnej bielizny damskiej.

N. 22. Kokarda krawatkowa.

Kokarda ta z 6 cent. szerokiej rypsowej wstążki, daje się w trzech kolorach. Frendzla wysiępywana na 4 — 6 cent. związuje się jedwabną nitką.

N. 23—24. Dwie rozetki frywolitkowe.

Rozetki takie dają się jako zakończenie, frywolitkowym brzękiem oszywanych krawatek. Sposób robienia objaśnia bardzo dokładna rycina.

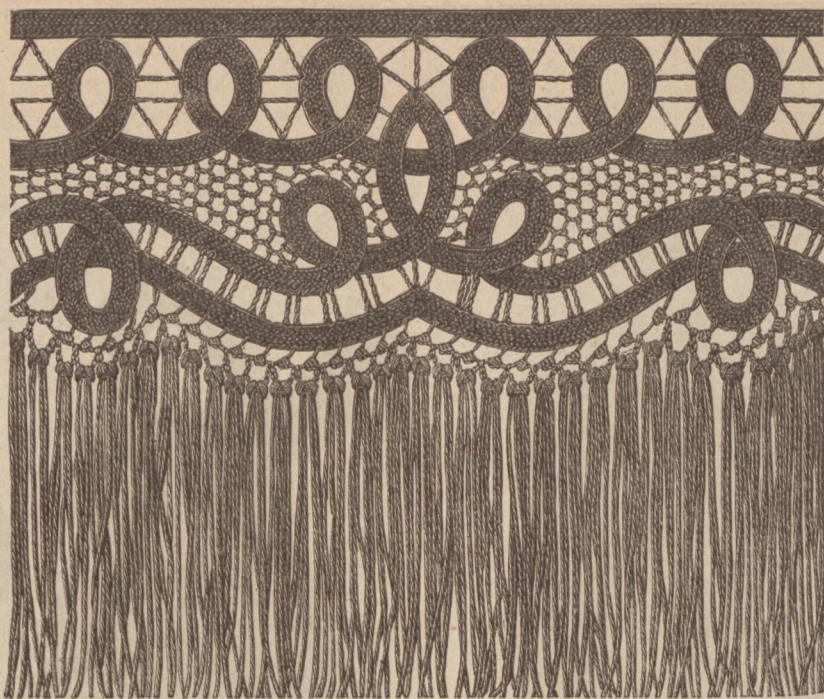
N. 25—27. Trzy haftowane szlaczki.

Powyższe szlaczki, odrabiają się z pomocą plecionek różnokolorowych, sznurka i rozmaitych ściągów na tybetowych kapturkach, kaftanikach itd.

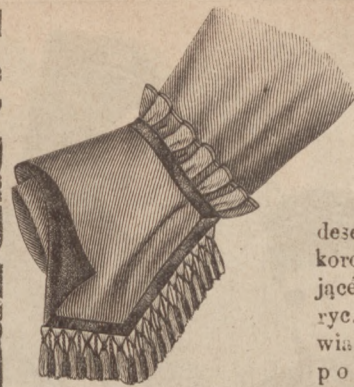
Kolory dobierają się odpowiednio do użytku i dla materiału.

N. 28—31. Zasłona pod świecę.

Rycina 30 podaje w naturalnej wielkości czwartą część



N. 36. Frendzla ze szlakiem koronkowym do okryć itd.



N. 33. Rękaw do kostiumu welnianego.

ka szafirowej materji 17 cent. długiego u dołu na 4 cent. z boku na pół cent. sze ro ko wysiępanego. Kwadrat ten podłużny wisi na brązowej sztabce, jaką ryc. 29 dokładnie

przedstawia. Sztabka poprzeczna umieszczona na oprawie do przytrzymania na świecy, liczy 16 i pół cent. a palczek wygięty z haczykiem 22 cent. długi ma 1½ do 2 cent. grubości. Dwie kokardy wycinane w zęby z materji i trzy 6 i pół c. długie, szafirowe kwa, sty, uzupełniają zasłonę.

N. 32—33. Kapturek tybetowy

N. 35. Spód rękawa do ryciny 18.

podszyty flanelką.

Krój i desień na dodatku N. III Fig. 7—10.

Dokładny krój i dwie ryciny najlepiej objaśniają ułożenie na głowie kapturka z aksamitu, sukna, kaszmiru albo też materji. Żeby kaptur lepiej się układał, zamiast waty daje się wódek pasowa flanela pokryta jeszcze jedwabną podszewką.

Wyszycie wierzchu kolorowym jedwabiem i plecionką, dopełnia się przed podłożeniem podszewki. Rycina 26 podaje szlaczek w rozmaitych cieniach. Frendzla dopełnia całości.

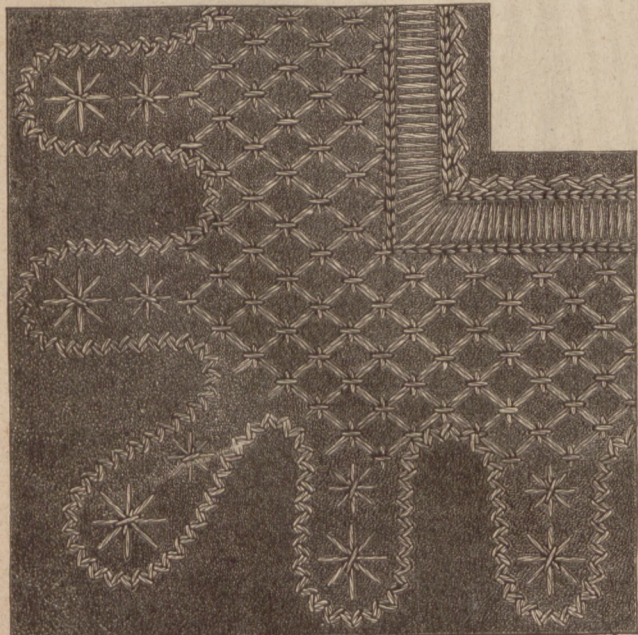
N. 34. Domowa suknia dla panienki.

Spódniczka sięgająca kostek ze stanikiem pod szyję, z materiału fioletowego welnianego w drobne paski czarne, naszyta kilkoma rzędami czarnej aksamitki na 20 c. od dołu. Czarny jedwabny fartuszek z dwiema kieszonkami, ubrany karbowaną riaszką, pletnią jedwabną, i dwoma rzędami ruloników danych w zęby z kokardkami z boków, dopełnia całości.

Dalszy ciąg opisu dodatku nastąpi w N. 48 T. Mód.



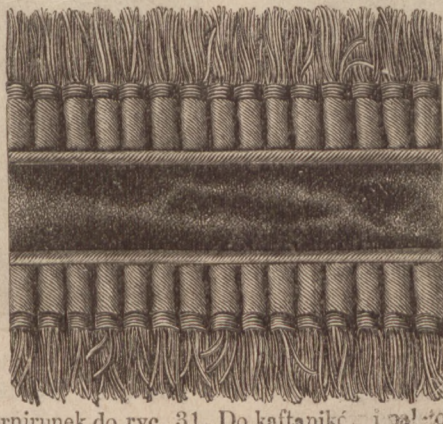
N. 37. Desień na narożnik do kaftaników i kaptunków.



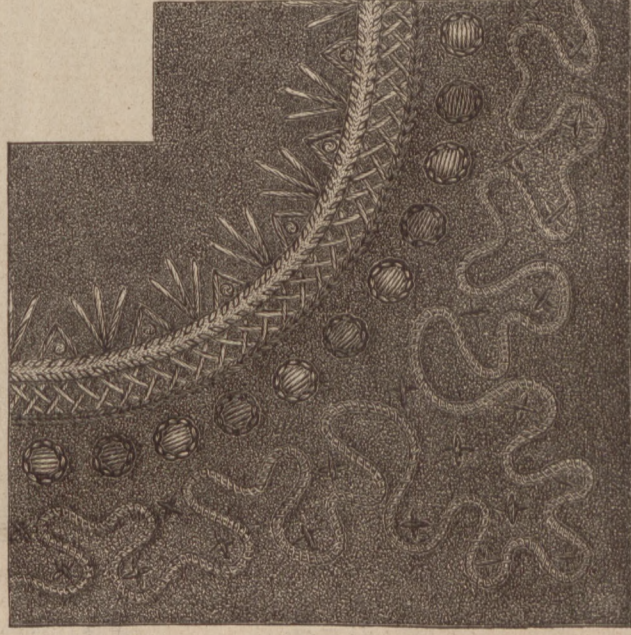
N. 38. Narożnik wyszywany do ryc. 15.



N. 4. Sztydelko w pasmanterji do ryc. 30.



N. 41. Garnirunek do ryc. 31. Do kaftaników i kaptunków.



N. 39. Wyszywany narożnik sznurkiem i jedwabiem.

- N. I. Długi paletot. Rycina 28 w N. 47 Ty. Mod.
Fig. 1. Prąd (A, B, C, D, E, G).
Fig. 2. Zmniejszony format przodu (Fig. 1).
Fig. 3. Zmniejszony format tyłu (Fig. 1).
Fig. 4. Polowa pleców (A, B, C, D, E, F).
Fig. 5. Polowa stojącego kołnierzyka (2, 3).
Fig. 6. Rękaw (2, 3, 4, 5, 6).
N. II. Krótki paletot z kolanami. Rycina 29 i 31 w N. 47 Ty. Mod.
Fig. 7. Prąd (L, M, P, Q, R, T).
Fig. 8. Zmniejszony format przodu (Fig. 7).
Fig. 9. Zmniejszony format tyłu (Fig. 7).
Fig. 10. Ręk (L, M, N, O).
Fig. 11. Zmniejszony format boku (Fig. 7).
Fig. 12. Polowa pleców (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9).
Fig. 13. Polowa stojącego kołnierzyka (2, 3).
Fig. 14. Rękaw (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9).
Fig. 15. Zmniejszony format tyłu (Fig. 7).
N. III. Lekki kaftanik dla 1-3 lat. Rycina 27 i 28 w N. 47 Ty. Mod.
Fig. 16. Prąd (V, W, X, Y, Z, 2).
Fig. 17. Polowa pleców (V, W, X, Y, Z, 2).
Fig. 18. Polowa kołnierzyka (2, 3).
Fig. 19. Rękaw (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9).
Fig. 20. Zmniejszony format przodu (Fig. 16).
Fig. 21. Zmniejszony format tyłu (Fig. 16).
Fig. 22. Polowa pleców (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9).
Fig. 23. Polowa stojącego kołnierzyka (2, 3).
Fig. 24. Rękaw (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9).
Fig. 25. Zmniejszony format tyłu (Fig. 16).
N. IV. Własnany kaftan dla pańszek. Rycina 26 w Ty. Mod N. 47.
Fig. 26. Prąd (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10).
Fig. 27. Polowa pleców (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10).
Fig. 28. Polowa kołnierzyka (2, 3).
Fig. 29. Rękaw (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10).
Fig. 30. Zmniejszony format przodu (Fig. 26).
Fig. 31. Zmniejszony format tyłu (Fig. 26).
Fig. 32. Polowa pleców (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10).
Fig. 33. Polowa stojącego kołnierzyka (2, 3).
Fig. 34. Rękaw (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10).
Fig. 35. Zmniejszony format tyłu (Fig. 26).
N. V. Stanik dla pańszek od 14-17 lat. Rycina 31 i 32 w Ty. Mod N. 47.
Fig. 36. Prąd (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10).
Fig. 37. Polowa pleców (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10).
Fig. 38. Polowa kołnierzyka (2, 3).
Fig. 39. Rękaw (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10).
Fig. 40. Zmniejszony format przodu (Fig. 36).
Fig. 41. Zmniejszony format tyłu (Fig. 36).
Fig. 42. Polowa pleców (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10).
Fig. 43. Polowa stojącego kołnierzyka (2, 3).
Fig. 44. Rękaw (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10).
Fig. 45. Zmniejszony format tyłu (Fig. 36).
N. VI. Wykład do rękawów i stanika. Rycina 14 i 15 w Ty. Mod N. 47.
Fig. 46. Wykład (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10).
Fig. 47. Polowa pleców (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10).
Fig. 48. Polowa kołnierzyka (2, 3).
Fig. 49. Rękaw (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10).
Fig. 50. Zmniejszony format przodu (Fig. 46).
Fig. 51. Zmniejszony format tyłu (Fig. 46).
Fig. 52. Polowa pleców (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10).
Fig. 53. Polowa stojącego kołnierzyka (2, 3).
Fig. 54. Rękaw (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10).
Fig. 55. Zmniejszony format tyłu (Fig. 46).
N. VII. Kaftan dla chłopca od 9-11 lat. Rycina 18 w Ty. Mod N. 47.
Fig. 56. Prąd (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10).
Fig. 57. Polowa pleców (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10).
Fig. 58. Polowa kołnierzyka (2, 3).
Fig. 59. Rękaw (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10).
Fig. 60. Zmniejszony format przodu (Fig. 56).
Fig. 61. Zmniejszony format tyłu (Fig. 56).
Fig. 62. Polowa pleców (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10).
Fig. 63. Polowa stojącego kołnierzyka (2, 3).
Fig. 64. Rękaw (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10).
Fig. 65. Zmniejszony format tyłu (Fig. 56).
N. VIII. Polaryna dla małego dziecka. Rycina 12 w Ty. Mod N. 47.
Fig. 66. Prąd (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10).
Fig. 67. Polowa pleców (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10).
Fig. 68. Polowa kołnierzyka (2, 3).
Fig. 69. Rękaw (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10).
Fig. 70. Zmniejszony format przodu (Fig. 66).
Fig. 71. Zmniejszony format tyłu (Fig. 66).
Fig. 72. Polowa pleców (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10).
Fig. 73. Polowa stojącego kołnierzyka (2, 3).
Fig. 74. Rękaw (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10).
Fig. 75. Zmniejszony format tyłu (Fig. 66).
N. IX. Forma płaszczyzny z peleryną. Rycina 21 i 22 w Ty. Mod N. 47.
Fig. 76. Prąd (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10).
Fig. 77. Polowa pleców (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10).
Fig. 78. Polowa kołnierzyka (2, 3).
Fig. 79. Rękaw (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10).
Fig. 80. Zmniejszony format przodu (Fig. 76).
Fig. 81. Zmniejszony format tyłu (Fig. 76).
Fig. 82. Polowa pleców (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10).
Fig. 83. Polowa stojącego kołnierzyka (2, 3).
Fig. 84. Rękaw (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10).
Fig. 85. Zmniejszony format tyłu (Fig. 76).

